



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rub. 7 kop. 20, półrocznie rub. 3 kop. 60; kwartalnie rub. 1 kor. miesięcznie kop. 60.

Na Pradze w księgarni S. Rzymskiego, Wileńska, 4.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:
kwartalnie rub. 2 kop. 50. rocznie rub. 10.
Cena numeru pojedynczego kop. 20.

Redaktor: Maryan Gawalewicz.

Wydawca: Piotr Laskauer.

Redakcja Główna przy ulicy Nowy-Swiat Nr. 41.

Ogłoszenia przyjmuje Administracja „Bluszcza” po kop. 15 za wiersz petitem lub za jego miejsce.

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie zlr. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową zlr. 3 cent. 50.

W Krakowie: u D. E. Friedleina: kwartalnie zlr. 2 cent. 75, na prowincyi z przesyłką pocztową zlr. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim dla abonentów „Dziennika Poznańskiego”: w Poznaniu kwartalnie 4,00 mk., z przesyłką pocztową 4,60.

Podczas lata.



Po długich zimowych miesiącach i zamknięcia się w ciasnych ścianach domu, każdy mieszkaniec miasta z radością wita wiosną i jej czary, wciągając w siebie ożywienie powietrza po za miejskimi murami.

Weszło też u nas w utarty zwyczaj, że nie tylko zamożne, lecz i uboższe rodziny opuszczają swoje siedziby, dążąc na kilka letnich miesięcy na wieś, by dzieciom swoim dać swobodę i wypoczynek na tle natury i zasilić je nowymi siłami.

Z jakim też upragnieniem dziatwa nasza oczekuje tej chwili, w której wolna od nauki i wszelkiego przymusu, może oddać się całej duszą przyjemnościom wiejskiego życia, mając za otoczenie swoje łąny falującego zboża; ukwiecone łąki i cieniste lasy lub ogrody. Czy może też być coś zbawienniejszego dla fizycznego i moralnego rozwoju dzieci, nad swobodne bieganie po świeżym powietrzu i oddawanie się rozrywkom właściwym młodocianej wiekowi, wyrabiającym zręczność i muskularność ciała, lub nad odpoczynek na trawie w cieniu drzew, a wreszcie na ciągłą styczność z cudami przyrody, z mozolną pracą rolników i t. p.!

Jakąż bo cudowną rzeczą jest przede wszystkim świeże powietrze, przenikające nasze ciało i napawające naszą skórę substancją tak delikatną, że jej prawie nie czujemy, a przynoszącą ożywcze tchnienia gór, pól i wszelkich harmonii natury do środka miast zatłoczonych.

Przestwory powietrzne są niezbędne zarówno dla ciała, jak i dla ducha ludzkiego, a ziemia i niebo, lasy i błękitne wstęgi rzek

lub drobnych strumyków, kwiaty i drzewa, słowem: to wszystko, co stanowi naturę i jej tajemnice, jest najlepszą dla nas szkołą, ucząc tego, czego książki nie nauczą nigdy.

O ile jednak uroczym krajobraz, wschód lub zachód słońca, tajemnicza cisza nocy, smutny księżyc i błyszczące gwiazdy stanowią dla jednych uroki życia, sprawiając im radość i upojenie, dla innych te cuda przyrody są tylko martwą bez wyrazu księgą, w której czytać nie umieją wcale, co jest dowodem, iż nie rozbudzono w ludziach tych estetycznego zmysłu, a czyjeż w tem najpierwsze zadanie, jeśli nie matki?

Wyjeżdżając na wieś, dzieci powinny wiedzieć i czuć to, że jadą tam nie tylko dla tego, by na swobodzie wiejskiej wypocząć, a na wiejskich przysmakach nabrać tuszy i sił fizycznych, ale by jednocześnie podnieść się moralnie, będąc bliżej wielkich dzieł Stwórcy, mówiących nam o jego potęgze, zawartych w naturze.

Matka Danta miała zwyczaj przechodząc z synem, gdy ten był dzieckiem, zwracać zawsze uwagę jego na każde piękno natury, mówiąc mu o cudnych dziełach Boga; czyniła zaś to w tak ujmujący sposób, iż przechadzki te były najwyższym szczęściem dla chłopca i najmilszym jego w późniejszym życiu wspomnieniem.

Naśladujmy więc matkę Danta, uczmy dzieci nasze, by na świat Boży patrzyły z ciekawością i zainteresowaniem, oraz z miłością dla tego wszystkiego, co dobre i piękne, a co tak łatwo odbija się w ich młodocianych duszyczkach.

Błądzą też matki, dogadzające zbyt często dzieciom podczas pobytu na wsi, pozwalając im spać długo i gnuśnieć w wygodach życia, bez pożytecznego zajęcia i rozrywek, rozwijających ich ciało i umysł.

Dzieci, używające willegiatury, powinny

hartować się stopniowo, w trudach życia wstając systematycznie rano między godziną 6-tą a 7-mą, by nabrać rzeźkości ciała, jaką daje ożywcze poranne powietrze, odświeżone kroplami rosy nocnej, perlącej się na liściach drzew i roślin wszelkich. Choć raz też w ciągu lata dzieci powinny być świadkami wschodu słońca, tak podnoszącego duszę naszą, zachęcone przykładem starszych, jakąś wycieczką w rodzaju majówki i t. p.

Odzienie dzieci przebywających na wsi powinno obok czystości, zachować i prostotę formy, zastosowaną do higienicznych wymagań niekępowania swobody i ruchów dzieci. Ciągłe bowiem pamiętanie o tem, aby kosztowna i elegancka sukienka nie zniszczyła się i nie zmieniła w bieganiu lub wypoczynku na trawie, zmniejsza przyjemność rozrywki na świeżym powietrzu, rozrywka zaś dla dziecka jest tem, czem słońce dla kwiatu; w miarę użyta, ożywia i wzmacnia, zbyt często — nudzi i szkodzi.

„Pracując stale, nie bawiąc się nigdy, dziecko głupieje, zamiast nabierać rozumu, — utrzymują Anglicy, i w myśl tego twierdzenia, dają dzieciom swoim wiele rozrywek na świeżym powietrzu w grach towarzyskich i różnych ćwiczeniach ciała.

Gry bowiem nie tylko zabezpieczają zdrowie fizyczne, lecz i podnoszą dzieci moralnie, dodając siły i odwagi do pracy, wyrabiając śmiałość, oporność w zmęczeniu, panowanie nad sobą i dobry humor i ucząc nade wszystko jednoczenia się z współtowarzyszami zabawy, czyli przystosowywania swoich usiłowań do usiłowań cudzych, potężnego środka powodzenia w życiu. Gry przyzwyczajają również do uprzejmego obejścia, oraz do prawości, przekonując, że niehonorowem jest wszelkie kręctwo nawet w grze; a gdy dzieci nauczą bawić się uczciwie, będą uczciwymi

w życiu, pogardzając tem wszystkim, co potępia nasze sumienie.

Pozwólmy więc dzieciom naszym bawić się swobodnie w kole towarzyszków bez różnicy stanów, nie obawiając się pod dozorem starszych, ujemnego wpływu prostaczych natur dziatwy wiejskiej, które są mniej zepsute, niż pieszczonych dzieci z miasta. Niechaj razem biegają i bawią się wesoło, niech jeżdżą konno, wioślują, lub wdrapują się na drzewa, byle ostrożnie, byle bez uszczerbku gniazd ptasich; niech nawet pomagają chwilowo w pracach rolników bezinteresownie, aby tylko czas zapłacić pożytecznie i oddać małą usługę niższym od siebie, lub tym, którzy je podejmują gościnnie w swych domach.

Wychodząc na przechadzkę odzwyczajamy dzieci od bezmyślnego patrzenia na wszystko, zwracamy uwagę ich wciąż na to, co je otacza, a zbierając kwiaty, zioła i rośliny różne, uczymy dzieci czynić z nich użytek, układając bukiety, lub zasuszając w zielnikach i w celu leczniczym; tak zaś mając czas zapelniony, dzieci nie będą psociły i naprzykrzały się starszym, nie będą dręczyły domowych zwierząt i niszczyły ptactwa, gnieźdzącego się pod strzechami domów, słowem: nie staną się plagą dla spokojnych wsi mieszkańców, zło-rzeczających nieraz na niesforność miejskich dzieci.

Prowadzone przez rozumne matki i wychowawczynie, nauczą się łatwo szanować i kochać wszystko, przyzwyczajają się do dobrego postępowania i wyrosną na dzielnych obywateli swojego kraju, dowodząc dzieciństwem swoim, że dzieci są poezją świata, źródłem

miłości i żywym kwiatem naszych ognisk domowych, tylko matki, mamy i mamusie chciejcie im dopomagać w tem sercem swoim i rozumem!...

Matka-Polka M. R.-S.



Marya Rodziewiczówna.

Joan. VIII, 1—12.

POWIEŚĆ.



(Ciąg dalszy).

Malarz szukał jej i przychodził na gawędkę. Oswoiła się z jego sposobem bycia i poglądami — zrazu zgorszona, znalazła potem w nich dziwnie pociągający urok, nauczyła się odpowiadać cięto. Dowiedziała się, że ma na imię Jan, że jest sam na świecie, bez rodziny, że zarabia dużo i spędza zimę w Paryżu, lato gdzie go fantazja pociągnie. Nie wątpiła, że jest Francuzem, a gdy się dowiedziała, że ona jest Polką, rzekł w rodzaju komplimentu, że Polki mu imponują i że się ich — aż boi.

I raz pewnego wieczora, gdy wracali ze spaceru, rzekł obojętnie:

— Niech mnie pani wspomni jutro.

— Dlaczego?

— Bo dziś w nocy odjeżdżam.

— Tak nagle?

— Od wczoraj zachciało mi się zobaczyć Arles! Była tam pani kiedy? Nie, — to szkoda. Jakie tam są cudne kobiety i niebo! Tu mi za szaro, za smętnie, za chłodno. Sielanka! Znoszę ją bardzo krótko. „Pójdę w świat, szukać sobie innej!” — zanucił wesoło.

— Tęskno panu zapewne po modelkach.

— Przedewszystkiem za barwą i blaskiem południa. Chciałbym spotkać panią za lat kilka.

— Zdaje mi się, że możemy pożegnać się na zawsze.

— Szkoda. Malowałbym wtedy portret pani. I pani radaby mnie ujrzała.

— Wątpię, czybym sobie przypomniała, żeśmy się już widzieli.

Zaśmiał się.

— Powinniśmy sobie coś dać na pamiątkę i na znak do przypomnienia.

Zanim się obejrzała, zorientowała, pomyślała o oporze, poczuła jego usta na szyi, odtrąciła go, odskoczyła.

— Devenez reine, je serai votre page, au revoir! — zawołał wesoło, i uchyliwszy beretu, zawrócił.

Po chwili usłyszała gwizdanie znanej sobie melodyi: „Pójdę w świat — szukać sobie innej” — i zniknął za skałami.

Manusia wróciła tego dnia później, niż zwykle, jakaś zdenerwowana, ze śladami łez na twarzy, nie miała apetytu, źle spała w nocy, nazajutrz nie chciała iść do morza. Zaniepokoiła się Zarębina.

Po paru dniach Manusia wyznała, że jej tęskno do domu, że ma dość włóczęgi i sa-

Ploteczki i Prawdy.

(FELJETON TYGODNIOWY).



(Wyspiański, ja i wy... — Kawaleczek cukru. — Tysiące w koszach gałganków papierowych. — Węzownia i słodycze. — Emigracja pięknych artystek.

„Miodu, słodyczy, kochania, roznamiętnienia i szczęścia!”... Tak woła Rachel w jednej ze scen „Wesela” Wyspiańskiego do poety.

Gdybym był poetą i swe ploteczki w gładkie umiał wiązać rymy, czyżby nie miała prawa tak do mnie obecnie zawołać każda z czytelniczek „Bluszczu?”...

Zwłaszcza po mej ostatniej obietnicy...

Niestety... Parnas dotąd nie miał szczęścia mnie oglądać, instytucja zaś Pegaza jest mi nieznaną, gdyż przeważnie tramwajem się posługuję. Do mnie tedy podobne pretensje, jakie miała Rachel do poety, żadną miarą stosowane być nie mogą.

Chociaż... radaby dusza do rajcu...

Obiecałem zaprawdę dziś dużo rzeczy słodkich. Nawet torcik cały. Obietnicy dotrzymam. Będzie to rzeczą tem chwalebniejszą, że w dzisiejszych srodze gorzkich czasach o wszelką słodycz tak trudno... tak trudno...

Niemniej służę...

Surrogatem wszelkiej słodyczy jest cukier. To pewnik. Od niego więc zacznę. Ale nie od całej głowy cukru, tylko... od kawaleczki! Zwrócił mi nań uwagę jeden z filantropów Warszawy.

Tak mówił do mnie w chwili, gdym zapłacił w cukierni należność za wypitą „czarną” i już chciał wychodzić:

— Mój złoty panie... pan zapomniał coś zabrać...

— Co takiego?...

— Tych parę kawaleczków cukru i deczku, za które pan zapłaciłeś...

— Po co mi one?... Nie mam pieska, narka w domu, kuchni nie prowadzę...

Mój filantrop się zaperzył.

— Otóż to właśnie... Pieska ani kanaraka. Co za ciasny kąt patrzenia... Zapłaciło się, to zabrać. Dużo miejsca w kieszeni nie zajmie. W domu osobna szuflada i tam składać czysto i porządnie. W niedużym przeciągu czasu tych słodkich oszczędności nabiera się parę funtów. Wtedy je odesłać do specjalnego „biura bezpłatnego dostarczania cukru” ubóstwu.

Pan sądzi, że to żart starego dziwaka?... Nie taki śmieszny z pewnością, jak się panu zdaje. Gdyby tak setki i tysiące tych, którzy stale bywają w kawiarniach i cukierniach, robiło, jak ja, pewien kontyngens biedaków otrzymywałby w ten sposób bezpłatnie cu-

kier. A to taki skarb dla kogoś, kto musi zdobywać się co krok na groszowe oszczędności...

Rozstałem się z pomysłodawcą, ale słowa jego utkwiły mi nie na żarty w pamięci. Gdyby zebrać grono ludzi, którzyby chcieli nad tem pomyśleć na seryo, konsekwencye ich postępowania byłyby dla nędzy warszawskiej bardzo słodkie... Chociażby takie...

Możnaby w ogóle sparafrazować znane powiedzenie. Brzmiałoby ono: *Filantropia flat ubi vult!*...

W związku z tem byłaby również kwestya gałganków i odpadków papierowych. W wielkich miastach Europy przemysł taki już oddawna się praktykuje. W pewnych dniach miesiąca ukazuje się na ulicach ogromny, specjalnie pomalowany i udekorowany, wóz. Jedzie waga w powolnem tempie i co druga lub trzecia brama się zatrzymuje. Z bramy wychodzi stróż, trzyma w ręku kosz wypełniony odpadkami papierowymi i wysypuje je do wozu. Wóz odgrywa w ten sposób rolę specjalnego kosza dla odpadków papierowych całego miasta.

Takich wozów w pewnych, stale oznaczonych dniach, krąży po mieście równocześnie Plon, który przywożą, reprezentuje pepitał, który bywa obracany na cele piii.

Znacie dzieło angielskiego ekonomisty, który dowodził, iż Londyn corocznie wyrzuca

motności, że chciałaby zobaczyć ojca i czemś się zająć.

Naturalnie ta czułość dla kraju i rodziny rozczuliła do łez matkę, zaczęły się zbierać do powrotu. Postanowiły się wcale w Warszawie nie zatrzymywać, przemknąć przez nią cichaczem, ale Zaręba wygadał się o dniu przyjazdu panu Bolesławowi, i zapewne od tego dowiedział się radca Salnicki, bo spotkał te panie na dworcu z bukietem i pudełkiem cukierków.

Manusia była wściekła, Zarębina rozpromieniona. Radca zajął się ich bagażem, towarzyszył na drugi dworzec, ulokował w wagonie. Naturalnie został przez matkę zaproszony na wieś, za co bardzo serdecznie podziękował.

Gdy pociąg ruszył, Manusia wybuchnęła:

— Po co go mama zaprosiła. On pomyśli, że go łapiemy. Ja go nie chcę, mamę, ja nikogo nie chcę!

— Ależ, moje dziecko, nie możemy się zamykać, jak trędowaci. To była z jego strony wielka uprzejmość. Po takiej awanturze, okazał, że został przyjacielem. Trzeba było zaprosić, to do niczego nie obowiązuję. Zresztą to taki miły, inteligentny człowiek, tak dobrze mówi i takie zajmujące rzeczy. Nieoceniony gość na wieś teraz. Pomyśl, to już Wrzesień, wszyscy wrócili do miasta. Będziemy, jak pustelnicy.

Manusia wzruszyła ramionami.

— Ach, mnie on nie nie obchodzi. Niech mama się nim cieszy i go bawi.

— Przecie lubiłaś go także.

— Ach — może być. Mnie teraz wszystko i wszyscy wstrętni i nieznosi.

— Biedactwo! Warszawa ci przypomniła to nieszczęście. W domu odżyjesz znowu, zapomnisz...

Ale w domu właśnie wpadły na cały szereg opowieści warszawskich, plotek, obmowy, wymysłów najpotworniejszych. Józio opowiadał, że kilka razy omal nie miał o siostrę pojedynku, Zaręba był zgryziony i skłopotany interesami. Zadłużył się na wyprawy i wystawne życie, teraz musiał płacić na wszystkie strony, fabryka źle szła, łamał głowę nad wyjściem z ciężkiego położenia — wszystko widział w czarnych kolorach, zrzędził i narzekał na świat cały.

Synowie też chcieli żyć i wydawać. Karyera muzyczna starszego kosztowała grubo, młodszy niby to pomagał w fabryce, ale głównie siedział w miasteczku, i z kompanią sąsiednich młodych obywateli bawili się kartami po zajazdach. Na starość Zaręba czuł się samotny, znękan, niepotrzebny, a raczej zawadzający tym dzieciom, którym przecie służył i dogadzał całe życie.

— Trzeba nam będzie do przytułku iść! — mówił gorzko do żony. — Już my im niepotrzebni, ustąpić trzeba. „Stary dureń“ — myślą, — patrząc na mnie! Żebyż jeszcze nie te długi — i nie Manusia!

— Dlaczego nie udasz się o pomoc do Bolesława?

— Nie wspominaj mi tego człowieka! Wiesz przecie, że nagadał mi głupstw z powodu tego draha zbrodniarza i śmiał dowo-

dzić, że to my wszystkiemu winni! My! My go do zbrodni dowiedli! Bolesław! Toć on bywa u Stucha! Zresztą winien mu już jestem dwadzieścia tysięcy! Ja się boję, że on jeszcze na Salnickiego wpłynie, żeby nie przyjeżdżał. Ach, toby było zbawienie, żeby choć Maniusia los zabezpieczyć. To już tylko w twoich rękach.

— Byle przyjechał! — westchnęła Zarębina. — Maniusia ma złote serce, ona mi będzie uległa!

— Salnicki ma trzykroć gotówki i kamienicę. Zresztą może się Maniusia podobać, doskonale się jeszcze trzyma. Żeby to doszło do skutku, toby była bez porównania lepsza partya, niż Morzyński.

Maniusia po powrocie do domu, prędko zaczęła się nudzić. Przywykła do miasta i ludzi, do ruchu i rozrywek, do wizyt i sprawunków — co wszystko stanowiło zajęcie, pracę niby — i pożerało czas — na wsi nie wiedziała, co robić ze sobą i czasem. Bracia nie zajmowali się nią, gości prawie nie było widać z matką nie miała o czym mówić. Dnie upływały wolno, próżniaczko, na spacerach po ogrodzie na robótkach ręcznych nieużytecznych, na czytaniu belletrystyki, na jedzeniu i spaniu. Po paru tygodniach zauważyła z przerażeniem, że tyje. Słabła się z rozpacz. Zaczęła się sznurować, aż do utraty tchu, postanowiła się głodzić, ale była łakoma, więc nie umiała się obejść bez słodczy.

— Spasasz się, Maniusiu — rzekł kiedyś Józio, — będziesz taka fasa, jak mama. Trzeba ci koniecznie za męża!

na podwórzowe śmiecie miliony. W tych milionach poważną cyfrę stanowią galganki papierowe. Niech każdy, patrząc na koszyk stojący obok biurka i wypełniający się stopniowo papierami, pomyśli, że zapas tysięcy takich kosztów zebrany razem, da poważną cyfrę. Zapas bowiem tego tysiąca, a raczej tysięcy kosztów zakupywać będzie fabryka przetworów papierowych. O to chodzi...

W Warszawie jeszcze myśl nie wyzyskana. A taka nie trudna do przeprowadzenia. Zakupić duży wóz, parę koni, postarać się o odpowiednią administrację wykonania, trochę reklamy w prasie, a dochód gotowy. Tyle u nas zakładów filantropijnych czyha na grosz ofiarny. Właśnie jest do pozyskania ta droga.

Pomyśl do odstąpienia. Z wolnej ręki i bezinteresownie. Kalkulacja powodzenia zaraz pierwszych dni okaże jego zyskowność.

Zatem: kto pierwszy?... Podpisany zastrzeżę sobie tylko uśmiech wdzięczności od tych, którzy pomyśl zaanektują... Chyba zasłużony?... Naturalnie uśmiech...

Zabłąkawszy się w kwestyi galganków papierowych, co tchu powracam do przyrzeczonych słodczy.

Bo tylko o nich mi dziś wolno mówić. Gdzież zaś jest większy zapas słodczy, jeśli nie w cukierni? Zatem... „do cukierni prostą drogą,“ jak śpiewa krawiec w „Trójce hultajskiej.“

Już tam jesteśmy. U Semadeniego nawet... Czemu tu właśnie?... To dla aktualności tytu-

łu feljetonu i jego zasadniczego dzisiaj karmertonu. Wszak tu słodczy chodzą zawsze w parze z plotkami.

Znacie ten zadymiony pokój na lewo od bufetu?... To giełda plotek. Popularnie ten niski, zadymiony pokój nazywa się w mieście „węzownią.“ Tyle tu zawsze syczenia na współblizniego. Jest pewna kategoria osobników w Warszawie, którzy nie wyżyła, żeby nie wpaść bodaj na pięć minut i nie posłuchać, jak tam bliźniego „dobrą sławę“ nicują.

Nieopatrzni!... Dziś zjadają dobre imię drugich, a jutro sami na tem samym posiedzeniu i w tem samym kółku pod swą nieobecność bywają zjadani. Ale to nie odstrasza. Byle dobra, smaczna ploteczka, okraszona rodzenkiem złośliwego dowcipu, podłana szodonom żrącej pikanterii, hojra!...

Widziano kupca, który przechodził koło lombardu. Zastawiał najpewniej ostatni pierścionek. Bankrut...

X. rozmawiał z ożywieniem z Ygrekową. Nowy epizod uwiedzenia. A ten Ygrek poczciewy nawet się niczego jeszcze nie domyśla.

Dyrektor instytucji uprzejmie ścisnął rękę sprawozdawcy organu konkurencyjnego. Sprawozdawca bezpośrednio potem wyciągał chustkę z kieszeni. Ach, to łapówka!

Jak na jeden dzień, wystarczy ten popas dla zgłodniałej węzowni. A wszystko to na tle kłębow unoszącego się dymu, powodzi ciast, smakołyków i roznoszonej z ferworem „mocno gorącej czarnej.“

Semadeni... — a potem wymawia się jednym tchem: teatr... Bardzo porządna instytucja. Gdyby Bozia wycofała ze wszechświata tego pogodę i teatry, tylu salonom naraz zbrakłoby zupełnie tematu do rozmowy. Feljetonistom zaś do pisania. Wszak Warszawka żyła teatrem lat dotąd tyle.

Wogóle instytucja ta, przynajmniej w druku, wcale się jednak nie przeżyła.

Nie, nie o tem powiem, lecz oto rozedrę na sobie szaty, choć jeszcze niezapłacone, i nad emigracją za granicę artystek naszych zapłacę. Przed miesiącem oto przeniosła się na stałe do Paryża Siennicka, poprzednio ubyla scenie Siemaszkowa, a już w tych dniach to samo chce uczynić powtórnie równie piękna, jak i słodka w wyglądzie Federowiczowa.

Czyżbyśmy naprawdę za wiele talentów kobiecych w teatrach mieli?... — jak zapytuje stale jeden z naszych zaprzysięgłych krytyków.

Cóż?!...

Parol.



— Głupi jesteś! — oburknęła.
 — Zawsze nie tyle, co ty!
 — A cóż ty umiesz! — ruszyła pogardliwie ramionami.

Pokłócili się w dalszym ciągu. Rodzeństwo nie godziło się nigdy, bracia lekceważyli siostrę, ona broniła się docinkami, na sprzeczkach, żartach złośliwych i pretensjach kończyły się rozmowy — zresztą rzadkie. Każde żyło i myślało osobno. Godzili się tylko, gdy zaczęli napadać na rodziców i krytykować „starych.“ Wtedy byli idealnie jednomyślni!

Nareszcie pewnego dnia przyszła depecha od radcy Salnickiego z prośbą o konie na pociąg i raptem ożywił się cały dom. Nawet Maniusia się ożywiła nadzieją jakiegokolwiek rozrywki.

A radca Salnicki spotkał przed wyjazdem pana Bolesława w cukierni i zapytał:

— Możebyś i ty pojechał do Zarębów?
 — A to po co?
 — Ano, byłoby nas trzech do winta.
 — To ty nie masz tu lepszej partyi?
 — No, widzisz — chciałbym trochę wsi użyć zarazem.

— Aha, używaj, używaj, pókiś młody. Zie-leninkę lubisz, winszuję. Co mamy udawać. Na seryo chcesz się żenić z Maniusią?

— Hm — dlaczego nie! — zaśmiał się radca. — Bardzo apetyczna dziewczyna. Jak myślisz? Dostanę?

— Dlaczego nie!... Nie rozumiem tylko, że ci się chce tego kłopotu.

— Mój drogi, mniejszy z tem kłopot, jak z innemi. A będzie czem się pochwalić. Zresztą lata biegną, człowiekby chciał wygo-dy w domu.

— Ryzykowny byłeś zawsze, ale że do tego stopnia, to nie myślał.

— Cóż znowu! To żadne ryzyko. Dziewczyna śliczna, z zasadami, dobrze wychowa-na, młoda...

— To, to, to!... Żeń się, Michałku, żeń! Stworzonym na męża.

— No, to jedź za swata. Wstąpimy do Fukiera po drodzel!

— Niestety! Poróżniłem się z Zarębą, i z przeprosinami na niego czekam. Ale jedź, jedź! będą ci radzi.

— Na pewno?

— Niezawodnie. Jak Maniusia jest dla ciebie w sam raz na żonę, tak ty jej w sam raz na męża. Będziecie szczęśliwi.

Salnicki popatrzył na przyjaciela uważnie, tak przywykł, że drwi chętnie, ale twarz pa-na Bolesława była zupełnie poważna, a że radca chciał wierzyć — więc wierzył.

Pojechał tedy, wyświeżony, elegancki, z u-czernioną czupryną i wąsem nastroszonym zuchwale — i wyglądał na to, co chciał — na czterdziestkę.

Miał w sobie zapas niewyczerpany nowi-nek i anegdot, manieri salonowe, wprawę do komplementów, dobry humor, rutynę starego lwa salonowego, a z przypadku czy wyracho-wania trafił na najstosowniejszy moment.

Po tygodniu pobytu miłego gościa, Zarębi-na pewnego wieczora — majestatyczna w tu-szy i wyrazie oblicza, przyszła do sypialni córki.

Zastała ją w negliżu, zakręcającą papiloty

przed lustrem i obserwującą zarazem swój obnażony biust.

— Moja Maniusiu, mam ci rzecz wielkiej wagi do zakomunikowania! — zaczęła, sado-wiać się na kanapie, wśród rozrzuconych bez-ładnie części toalety.

— Wie mama, zrobił mi się pryszcz na brodzie, — odparła Maniusia. — Nie będę pić kawy.

— To ostrość krwi, to przejdzie, gdy zmie-nisz tryb życia.

— Ciekawość, jak ja mogę inaczej żyć! — Mama mi to wiecznie powtarza! — mruknęła grymasnie.

— Gdy wyjdiesz za męża.

Dziewczyna rzuciła niechętnie ramionami.

— Naprawdę — w tej dzieży tutaj!

— A właśnie. Wszędzie łaska Bozka czu-wa i szczęście przyjść może. Radca Salnicki oświadczył się dzisiaj ojcu.

— O mnie? — Maniusia odwróciła się do matki. — Ależ ja go nie chcę, mam! Taki stary.

— Moja droga, mąż nigdy nie jest stary. A im starszy w tem lepiej dla kobiety. Mielśmy próbę przyńskim, co wart młodzik!

— Ja też tamtego wcale nie żałuję, ale przypuszczam, że nie wszyscy młodzi tacy. Ach, mam, nie, nie, nie! Salnicki. Ja się go boję, nie chcę, br!

Wzdrygnęła się i zamylała. Błyskawicą myśli stanęło jej w oczach normandzkie mo-rze, słońce, kędzierzawa czupryna, purpurowe wargi, białe zęby i promienne oczy — i ogar-nęła ją jakiś dreszcz, jakiś żar, co aż różowo zabarwił ramiona i policzki.

— Nie, mam, nie chcę tego dziada, istny Sinobrody! — powtórzyła ze wstrętem.

(Ciąg dalszy nastąpi).



*
* *

O słońce złote!
 Świeciłoś ty mi na ból,
 Na lzy, tęsknotę,
 Na tajną serca zgryzotę,
 Ty pan!... ty król!...

Wy gwiazdy cudne!
 Słyszałyście marzeń sny
 I troski zmułne,
 I serca nadzieje złudne,
 O! jasne wy!

Księżycu bładyl!...
 Kwitł wtedy jaśmin i bez...
 Dziś znikły ślady
 Uzuć rozpacznych kaskady,
 Zawodnych łez!

To dziś tak mgliste!...
 Zakryły mi słońce mgły,
 Gwiazdy świetliste,
 Księżyc chłona nocę dżdżystą,
 Ciemność i lzy...

Witoldyna.



HISTORIA KOBIETY.

STUDYUM SPOŁECZNE

PRZEZ

Julię Terpiłowską.



(Ciąg dalszy).

Polka z okresu Odrodzenia, którym u nas były Zygmunrowskie czasy, przedstawia ów typ, który w ogóle bez względu na epokę dziejową, nazywamy staropolską niewiastą; typ najcharakterystyczniejszy i najdługotrwałszy, — tak długotrwały, że podobizny jego po głębszych kraju zakątkach dotąd jeszcze w bar-dzo czystych rysach odnaleźć się dają. Typ ów, rozwinięty w czasie najbujniejszego roz-kwitu narodowego charakteru, już okrzesany z grubszej chropowatości Średniowiecza a jesz-cze nie wynarodowiony przez późniejsze obce wpływy, cechuje się najwybitniejszą ze wszyst-kich okresów dziejowych swojskością. Pod-kładem jego jest silna religijność, surowa czystość obyczajów i poważna obywatelskość, a na tym gruncie wyrastają bujnie inne przy-mioty, jak: pracowitość, rzadność, miłosier-dzie, obowiązkowość i wierność małżeńska; lecz o ile charakter był etycznie wyrobio-nym, o tyle szwankowało wyrobienie intellektualne. Kultura umysłowa polskiej kobiety stała na stopniu tak niskim, że postęp w sto-sunku do średniowiecznej ciemnoty polegał tylko na większej oglądzie obejścia i wysło-wienia i na koniecznej już — choć bardzo chro-mającej — umiejętności czytania i pisanja. Umiejętność ta, po nabytciu w wieku mło-dzieńszym, odlogowała się przez całe ży-cie, zredukowana do mod... na książce i prowadzenia regestrów domowych. Nie by-ło zresztą co czytać, bo chociaż znikomiej Zygmunrowscy pisarze wydawali dzieła pol-skie, ale te nie były jeszcze ani liczone, ani do nabycia łatwe; dawniejsze zaś zasoby książkowe były łacińskie, — więc dla kobiet niedostępne.

Z tego braku kultury u kobiety wychodzi-ła ogólna ciasność pojęć, zwłaszcza społecz-nych, i typowa, niesłychana zabobonność. Pojęcia o sprawach publicznych i w ogóle politycznego uświadomienia, miała towarzy-szka stałego państwowego urzędnika, jakim był każdy szlachcic, bardzo maluczko. Wpływ jej na męża, w rzeczach rodzinnych i gospo-darczych często bardzo znaczny, nie sięgał po za interesy domowe; a chociaż patryotyzm miała gorący i miłość ojczyzny dzieciom swym gorliwie wszechpiała, chociaż w granicach swojej parafii pełniła obywatelskie powinno-ści, jednak w kwestjach szerszego krajowego znaczenia była zupełną ignorantką, a miesza-nie się do nich jakąś inicjatywą, radą czy namową, uważała by wprost za nieprzyzwoi-tość.

To odsunięcie kobiety od znajomości spraw, tyczących się rzeczy publicznych i dobra po-wszechnego, było tak gruntowne i ogólnem, wrosło tak mocno w opinię i przekonania, i tak głęboko zapuściło w obyczaj korzenie, że do dziś dnia kołace się gdzieś nieda-przedzenie, jako białogłowski rozum niezda-

tnym jest do zajmowania się kwestyami politycznej natury, i samodzielnych sądów o nich wydawać nie powinien.

Zabobonność średniowieczna, pod wpływem humanistycznej kultury zwolna zanikająca w sferze intelligentnej w umysłach męzkich, w kobiecych krzewiła się ze starodawną bujnością i stanowiła nieraz jeden z poważnych czynników postępowania. Zamawiania, urzeczenia, sekrety medyczne z medycyną logicznego związku nie mające, feralne dni, prognostyczne znaki, sny wróżebne, prorocze przeczucia, cudowne przepowiednie, traktowane całkiem seryo, brane za drogowskaz lub wykładnik rozmaitych akcyi i faktów, wypełniały myśli i rozmowy. A ciągłą zmorą, mącą spokój łatwej i miłej egzystencji, były ciągle widywane, spodziewane i przypuszczane „strachy.“ To na ementarzu wiejskim coś pukało i jęczało, to w starym lamusie harcowała w nocy jakaś niedobra siła, to który z antenatów na konterfekcie w sali o zmierzchu toczył strasznym wzrokiem, nawet w sypialni nieraz przeszkadzało, budząc ze snu w dreszczach trwogi dziwnym szmerem i szelestem, niepokojąc wzrok wyteżony ślaniającą się w mroku białawą smugą lub czarną plamą. Opowiadaniom o wszelakich okropnościach tego rodzaju nie było końca, każda baba albo sama „coś“ widziała, albo słyszała od takiej, co nigdy nie kłamie; i tak ciągle podniecana wyobraźnia maciła święty spokój zewsząd wyzierającymi widmami, upiorami i ze wszystkiego najstraszliwszą ewentualnością zobaczenia kiedykolwiek tego, co to jest pół do capa podobny, a pół do Niemca.

Pobożność swą umiały te panie pogodzić ze wzbronionemi przez religię wierzeniami, a nawet z samychże praktyk religijnych najchętniej wybierały takie, które się nadawały do przyprawienia zabobonem. I tego także zabytki dotąd spotykać się dają, w formie np. skutecznych modlitewek do sześciokrotnego przepisania, mających na pewnych warunkach ziścić na pewno każde żądanie, albo listów Matki Bożkiej do Pana Jezusa, zapowiadających straszne klęski na tych, którzy ich propagować nie będą, albo słów liturgicznych, używanych do zamawiania i zażegnowań i tym podobnych mnóstwo.

Brak umysłowej kultury zastępowała po niekąd Polka przyrodzoną swą roztropnością, którą w niej wyrabiała traktowanie seryo życia i ścisła obowiązkowość. Sąd swój o każdej rzeczy opierała ona na niezmiennym aksjomacie: „to się godzi — to się nie godzi,“ — i dlatego sądziła zwykle słusznie, a w małej sferze pojęć, które poddawała krytyce rozumu, nie było miejsca na paradoksy i sofizmaty — wszystko było proste i prawe. Wychodziło ztąd ogromne uproszczenie i ułatwienie życia; nie było w niem zatargów sumienia, kollisioni uczuć, niepewności i niepokojów; „godzi się“ lub „nie godzi się“ rozwiązywało każdą sytuację, a wszelkie psychiczne powikłanie było wobec tego niemożliwem. Najryzykowniejszy epizod kobiecego życia — zamążpójście — było na tej samej zasadzie, tak samo po prostu przeprowadzanem, i w znacznej większości wypadków dawało pomyślne rezultaty. Legendarne gwałty zadawane nieśczęsnej dziewczę przez srogiego rodzica,

który pod groźbą chłosty zaślubiał ją ze zgrzybiałym oblubieńcem, były zawsze faktami całkiem wypadkowemi; według zaś modły przeciętnej, ogólnozwyczajowej, rzecz się zwykle miewała w ten mniej więcej sposób:

Gdy dziewczeczka do lat doszła, t. j. kanoicznie mogła już stanąć do ślubu, starsi, nie mówiąc z nią nigdy o małżeństwie, zaczęli szeptać o niem pomiędzy sobą, szukając odpowiedniego „postanowienia.“ Swatowstwo było ulubionem zajęciem statecznych matron, a nieraz nawet i mężów poważnych, tak iż panienka, nawet sierota uboga, mogła być spokojną, że znajdują się dobrzy ludzie, którzy dla niej partję dobiorą, i nie potrzebowała robić w tym celu osobistych zabiegów; co bardzo podnosiło godność panięńską, czyniąc z byle dziewczynki taką królewnę, która nigdy nikomu narzucać się nie raczy, bo wie, że znajdują się tacy, którzy się o jej rączkę pokłonią.

Poszukiwanie, oględziny, pertraktacye, czasem niedochodzenie układów pomiędzy swatami i nowych rozpoczynanie, zabierały nieraz sporo czasu, a przez ten czas panienka używała życia, — bezpieczna o przyszłość, cieszyła się teraźniejszością.

Zajęta wciąż użytecznie a miło, bo odpowiednio do uzdolnienia i umysłowości — głównie pomocą w pracach domowych i robotami ręcznymi — w wolnych chwilach byle czem się rozkoszowała, ze świeżością wrażeń ludzi nie trwoniących czasu. Więc po dniu czynnie spędzonym, pod wieczór w piękną porę wybiegła do ogródka po kwiaty, po zioła, do lasku po jagody, po orzechy, do strugi na kąpiel za wierzbą lub sitowiem; a zimą o zmierzchu wpadła do czeladni, posłuchać bają niani i pieśni prząsniczek, poigrać z psami i kotkiem, pokosztować jakiego przysmaku schowanego dla panienki. Na dzień powszedni wystarczało to w zupełności do orzeźwienia humoru po marudnem wyszywaniu; a jak krasne nici, co na długiej smudze szarego płótna znaczą w poprzek odstępny na chusty lub ręczniki, tak coroczny szmat dzieciecego życia krasniał w odstępach dniami radosnego wesela. Więc najpierw była wszak co tygodnia niedziela, a z nią biała sukienka świeżo uprana, niebieska wstążka w warkoczu lub centyfolia różowa, a potem celebra w parafii, z organem, kadzidłem, śpiewem, z podniesieniem ducha i serca rozanieleniem; następnie przed kościołem albo w gościnnej plebanii wesołe chychoty z rówieśnicami, atencye grzecznej kawaleryi — i poziomki ze śmietaną latem, miód z orzechami jesienią, a jabłuszka słodkie zimą, smaczniejsze niż domą, bo w wesołej kompanii szczerą ochotą zaprawne. Prócz niedziel były i święta uroczyste, a z niemi takie rozkosze, jak pasterka z szopką i kolendą, rezurekcyja z misteryami Zmartwychwstania w bocznej nawie, procesya Bożego Ciała z ukwieconemi ołtarzami; a już najmilsze to odpusty, na które szło się pieszo w licznej gronie, łącząc zasługę pielgrzymki z przyjemnością majówki. Bywały też imieniny w domu i w sąsiedztwie, i kuligi zapustne, i w spokrewnionych domach wesela lub chrzciny, a wtedy to już i kapela huczała na całonocnej ucieście, i wyhasać się, a u-

żyć wszystkiego co godziwe można było do syta, z całą werwą zdrowego apetytu do życia.

Tak przechodził nieraz roczek i drugi. Dziejsza „panna na wydaniu“ jużby się po paru karnawałach zaczynała o przyszłość niepokoić; dawniejsza hasała swobodnie, bo wierzyła, że „co sądzone — nie minione,“ a przytem wiedziała, że są tacy, którzy wyrokom losu dopomogą. I rzeczywiście pewnego dniazywano ją uroczystie przed oblicze jegomościa. Biegła spłoszona i wzruszona, zgadując o co idzie — i dowiadywała się od pana rodzica, że ten a ten sąsiad dobrodziej lub dalszy zacny znajomek prosił o nią dla syna lub krewniaka swego, a rodzice uznali kolligacyę jako stosowną i propozycya została przyjętą.

Zazwyczaj młodzi wiedzieli już naprzód nieco o sekrecie starszych i potroszę o sobie marzyli; bo młodym, a tak pełnym niewypalonego ognia, jak ówczesni, nie wiele było potrzeba, aby rozgorzeć przy pierwszej sposobności, skoro tylko „godziło się.“ Ale nawet w wypadku gdy się za mało znali, aby odrazu poczuć do siebie „Bożą wolę,“ poczucie to przychodziło później niezawodnie prawie, bo nagromadzona siła niemarnowanego uczucia potrzebowała wyładowania, i serce przyjmowało z ochoczą prostotą ten punkt oparcia, który się sam podawał; małżeństwa zatem, choć kojarzone przeważnie konwenansem, okraszane były prawie zawsze wcześniejszą lub późniejszą skłonnością wzajemną.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Jan Łada.

PIÓREM I OLÓWKIEM.



(Ciąg dalszy).

Mozaika typów i narodowości, pstrokaczna strojów i malowniczość tego wszystkiego, co się w ludowych zwłaszcza dzielnicach widzi, jest wprost nadzwyczajną, gdy się przyjedzie czy to z cywilizowanych i wykwiutnych Aten, czy z wcale niewykwiutnego ani cywilizowanego, ale na wiedeńsko-peszteńskiego sposób banalnego Belgradu. Górale albańscy z piękną bronią u pasa sprzedają hałwę i patrzą przytem na kupujących, jak Cezar mierzący z pogardą dumnym okiem motłoch w cyrku. Żaden nie oszuka cię o jedną *para* przy obrachunku, ani o miligram przy wadze, ale strzeżliwie z pistoletu lub przeszyć pierś nożem, uważa za drobiazg i gotów cię zabić dla żartu. Turek w białym lub różowym chałacie, siedzi przy swym sklepie w bazarze i zaprasza cię do wnętrza, grzecznie, ale bez natarczywości. Ten będzie się z tobą targował godzinami, użyje wszelkich wybiegów, aby towar zachwalić i odda go w końcu za czwartą część zacenionej summy. Ale i on także nie okpi i nie nadużyje niedoświadczenia cudzoziemca, na to bowiem za mało jest cywilizowany. Mniej już skrupulatni są Ormianie, zajmujący się wymianą pieniędzy, mogliby jednak

uczyć się szachrajstwa i przebiegłości od Greków. Tych wszędzie pełno. Ubrani przeważnie po europejsku, nie zawsze nawet noszą fezy. Każdy z nich kręci się, jak mucha w ukropie, za interesami, i węszy zarobek bez pracy. Każdy śmieje się, łasi, przymila, a w końcu oszachruje i jeszcze wydrwi. Żydzi natarczywsi bardziej, niż u nas, a jest ich dużo, tworzą bowiem trzy ćwierci ludności miasta. Większa część ich biedna i w łachmanach, jak w Polsce. Ale łachmany te różnobarwne i bardzo nieraz jaskrawe, przyczyniają się do nadania silniejszego kolorytu ulicy. Niektórzy bogatsi, spacerują poważnie w szafirowych chałatach i bogatych jedwabnych pasach we wzorzyste desenie, w których im doprawdy bardzo ładnie. Kobiety ich obwieszone świecidłami, zwłaszcza w szabas, w młodych latach nieraz prześliczne, później strojem swym przynajmniej tworzą niezmiernie ciekawe studium dla malarza. Albańczycy lub Grecy w swych śnieżno-białych, rurkowanych spódnicach, odstających, jak krynolina i szamerowani złotem, uzbrojeni od stóp do głowy kawasowie konsulatów lub europejskich instytucji i kupców, ożywiają jeszcze bardziej ten ruchliwy i malowniczy obraz. Kobiety tureckie w ciemnych płaszczach i białych zasłonach, przez które przeglądają wielkie, ciekawe oczy, przesuwają się wśród tłumu, jak widma. Niedbale, bez ładu i szyku, nie trzymając kroku, spacerują tu i ówdzie żołnierze. Trudnoby ich poznać, podobniejsi są bowiem do żebraków: mundury ich w strzępkach, z wielkimi otwartymi dziurami na łokciach i kolanach, poplamione, poniszczone, a bosc nogi kłapią w szerokich patynkach lub dziurawych trzewikach. O dyscyplinie w naszym pojęciu niema tam mowy. Żołnierz stojący na warcie, zrzuca bez ceremonii obuwie i spaceruje boso z karabinem w rękę, a jednak żołnierze ci oberwani, brudni, kiwający się, jak Żydzi przy swym pacierzu, to są bohaterowie z pod Lاریssy, godni następcy bohaterów z Plewny i Bałkanów.

Wśród tego mrowiska Turków, Żydów i Greków przeciska się czasem wieśniak bułgarski przypominający naszego ruskiego chłopca i biały kornet Siostry Miłosierdzia, przed którym z uszanowaniem rozstępuje się ludzka fala. Zrzadka przejeżdża parokonnny fiaker lub prywatny ekwipaż bogatego żydowskiego bankiera, ale staroświeckich charakterystycznych arb ciągnionych przez woły, już się tu, niestety nie spotyka.

Tłum ten mówi wszystkimi możliwymi językami, mieszając je w niemożliwy sposób, jak ongi przy budowie wieży Babel. A jak się mieszają języki, tak też ścierają się i polityczne oraz narodowe prądy. O wpływ i panowanie nad tą ziemią walczą z sobą zaciekle narody i plemiona: Bułgarowie z Grekami, Serbowie z Bułgarami, Albańczycy z Serbami. Każda narodowość stara się ubiedzić i wyprzeć drugą, budując szkoły i instytucje filantropijne, szerząc agitacyjne pisemka i dzienniczki, choć mało kto umie czytać, a nade wszystko jednając zwolenników pieniędźmi i materyalnym poparciem. Żydzi i Ormianie okpiwają wszystkich i ciągną zyski z kłótni Słowian, Albańczyków i Greków,

a Turcy przypatrują się temu chaosowi szklanemi oczyma, popijając kawę z fusami, puszczając wonny dym *latakiah* z nargilu i przesuwając leniwie w tłustych palcach żółte ziarna bursztynowego różańca.

Z dawnej Tessaloniki zostało stosunkowo niewiele szczątków. Niektóre z nich jednak są imponujące. Przejeżdżając wśród ciasnych uliczek tureckiej dzielnicy, natknąłem się prawie przypadkiem na wcale dobrze zachowany łuk tryumfalny, lub może część wjazdowej bramy, o kilku dobrze zachowanych korynckich kolumnach w dwóch kondygnacjach. Spotykałem też tu i ówdzie resztki dawnych murów okalających miasto, jakąś massywną wieżę z greckich zapewne czasów, a bliżej europejskiej dzielnicy pokazują mi miejsce dawnej areny, uwiecznionej krwawą pamięcią strasznej pomsty Wielkiego Teodozjusza, tak jak Medyolan uświęciło wspomnienie jego wielkodusznej pokuty.

Najciekawszymi jednak i najlepiej zachowanymi zabytkami Tessaloniki chrześcijańskiej, a nawet i pogańskiej, są dwa meczety. Jeden z nich był wedle podania, o ile sądzić mogę, uzasadnionego, pogańską świątynią na wzór Panteonu. Chrześcijanie przerobili храм starożytnego bóstwa na kościół, poświęcony św. Jerzemu i okryli malowaniami *al tempera*, przedstawiającymi sceny z życia świętych. Turcy, przerabiając kościół na meczet, nie wiem już doprawdy jakim trafem, czy cudem, pozostawili go prawie nietkniętym, nie niszcząc, ani bieląc, wbrew obyczajowi i przepisom Koranu, pamiątek chrześcijańskiej sztuki i wiary. Więc tylko dobudowany ganeczek i minaret zmieniają zewnętrzną postać budynku, wewnątrz zaś ustawiony od wschodu *mihrab* i kazalnica *imana* przypominają obecne jego przeznaczenie. Ale ze ścian przeglądają w sztywnym majestacie i hieratycznej wspaniałości postacie świętych Wschodu, posępne i surowe, jakby karcie chciały niewiernych, goszczących od wieków w ich przybytku, a z poza załomów sklepienia i z pod grubej warstwy wapna dojrzeć można resztki starych gzymsów i kasetonów, pamiętających zapewne dawniejsze jeszcze czasy, posąg boga stojący w środku świątyni i ofiarne przed nim trójnogi.

Drugi meczet był dawniej bazyliką poświęconą św. Demetriuszowi i sięgającą pierwszych wieków po tryumfie chrystyanizmu. Na zewnątrz nie nie pozwala przypuszczać jej rozmiarów i wspaniałości w niewielkiej na pozór ruderze, jednym bokiem tylko wychodzącej na ulicę i ściśnionej dokoła domami. Wszedłszy do wnętrza, jest się poprostu olśnionym wspaniałością pysznej świątyni o pięciu nawach, przedzielonych czterema rzędami marmurowych kolumn, o czterech małych i jednej wielkiej absydzie, w której obecnie odprawiają Turcy swe nabożeństwa, zostawiając resztę kościoła nietkniętą i w ruinie.

Kościół przypominał mi żywo bazylikę św. Apolinarego *In Classe* w Rawennie, tylko znacznie jest od niej większy i wspanialszy. Orowadzający nas *iman* bosi, obdarty, w spadających wciąż z nóg pantoflach, przesadza się w grzecznościach, naprzód dlatego, że dostał kilka piastrów, powtóre, ponieważ uważa nas za swych kolegów, jak mi to tłumaczy

mój towarzysz, rozumiejący trochę po turecku. Koleżeństwo co prawda mniej pochlebne, ale jakichże już na Wschodzie nie spotykało się kolegów, zwłaszcza wśród *kalugierów* po monasterach greckich! W bocznej kapliczce, do której się schodzi po stopniach, znajduje się wedle tradycji grobowiec św. Demetriusza, do którego Grecy pielgrzymują tłumnie, zwłaszcza w dzień jego święta, i opłaciwszy się Turkom, odprawiają tu swoje modły.

W europejskiej dzielnicy o szerokich ulicach i pałacach, otoczonych ogrodami, odwiedzam konsula austriackiego, w którego przedpokoju, tutejszym obyczajem, oczekuje na gości kilku kawasów, oraz służących w bogatych wschodnich strojach. Na miłej rozmowie przechodzi szybko, zbyt szybko, godzina i druga. Konsul, człowiek bardzo wykształcony, przebył kilkanaście lat w Prisrenie i Skutari, to znaczy w samem sereu dzikiej, niedostępnej, rozbójniczej, ale w najwyższym stopniu malowniczej i ciekawej Albanii. Wie o niej wiele i widać, że te lata spędzone w zupełnem odosobnieniu od cywilizowanego świata i niemal w samotności (w Prisrenie za całe towarzystwo miał konsula rossyjskiego i katolickiego misjonarza), były przezeń użytkowane dla poważnych, etnograficznych studyów. Mówi mi o ks. Czermińskim, którego książkę o Albanii czytał, i daje mi wskazówki co do przyszłorocznej zamierzonej przeze mnie wycieczki w tamte strony.

Wyjeżdżam z Saloniki bardzo rano, dziwiąc się, że na ulicach ruch już znaczny i w kawiarniach siedzą wczesni goście. Kolej prowadząca do Belgradu przedstawia charakterystyczny okaz tutejszej językowej amalgamy. Napisy na biletach i stacyach są francuskie, urzędnicy przeważnie Niemcy, a językiem bieżącym włoski, później zaś słowiański. Wagony bardzo porządne, nieskończenie porządniejsze, niż we Włoszech i Szwajcarii, a zwłaszcza we Francji. W Niszu przesiadam się do ekspresu konstantynopolańskiego, urządzonego z niesłychanym zbytkiem.

Droga przechodzi przez zielone, malowniczo falujące okolice, mało zaludnione, po części okryte moczarami i sitowiem. Grunt wcale nieuprawny, kraj dziki. Bliżej Skopii (Usküb) zaczynają się góry i coraz wspanialsze w swej dzikości skaliste wąwozy, w których gnieźdzą się rozbójnicze bandy. Czasem tor kolejowy przerzyna tureckie miasteczko w fantastycznym nieładzie rozsypane na stokach wzgórz, z białymi i różowymi domkami o dziwacznych galeryjkach i najniemożliwszych kształtach, pouczepianymi nieraz u skały, jak ptasie gniazda. W Usküb pełno Niemców, pijących piwo w lichej restauracji kolejowej, ale za miasto wychylić się nie można bez silnej eskorty, bo góry o parę mil, a w góry nawet eskorty nie dadzą, bo tam z całego pułku żołnierzy padyszacha nie sobie nie robią dzicy górale, żyjący z rozboju.

Do serbskiej granicy jedzie ze mną naczelnik pierwszej stacji z żoną, uprzejmi i sympatyczni jacyś ludzie, z którymi dużo rozmawiam o stosunkach ich ojczyzny. Uprzejmość moich towarzyszy podróży ochrania mnie od granicznej rewizji, bardzo podobno uciążliwej, za tureckie szykany cłowe bowiem odpłacają Serbowie represaliami, na których

niestety, bardzo źle wychodzą nie winowajcy, bo Turcy mało podróżują, ale cywilizowani podróżni z Zachodu. W Niszu taki na peronie ścisk i zamęt, że fala ludzka odrywa mnie od tragarza z pakunkami i unosi wbrew woli ku dworcowi i miastu. Cały pułk piechoty, przypominający zupełnie żołnierzy rosyjskich, w baranich czapkach i z płóciennymi worami na plecach, pcha się zbitą ławą, śpiewając, klnąc i wrzeszcząc, i ledwie z największym trudem udaje mi się wyrwać z tych żywych kleszczów i dopaść ruszającego już pociągu. Tu w nieskończenie długich, eleganckich wagonach panuje znowu ścisk i chaos nie do opisania. W kurytarzach, zwalone bezładnie na kupe, piętrzą się całe góry kufrów i pakunków. Koło nich roznosi się i duszą podróżni, nie umiejąc sobie dać rady, ani miejsca znaleźć, a bezprzykładnie brutalni i zuchwali konduktorowie, w odpowiedzi na prośby i reklamacje, sypią impertynencyami. W ostatecznej toni i czarnej rozpacz przychodzi mi na myśl język rosyjski i zaczynam, w zamian za ich grzeczności, sypać tym panom gradem komplementów niezupełnie salonowych. Skutek cudowny, a naprawdę całkiem niespodziewany. Konduktor podnosi rękę do czapki i zaczyna z wielką uniżonością tłumaczyć się i przeproszać, pół po niemiecku, pół łamanym językiem rosyjskim, łątając to wszystko razem z serbską. W tej chwili dla mnie i dla kilku towarzyszy niedoli znajdują się miejsca, i to wcale dobre, odnajdują się i rozdzielają nasze pakunki i w pociągu zaczyna panować ład i spokój. Tylko serbscy oficerowie kawalerii w czerwonych spodniach i *botfortach* huzarów austriackich, w rosyjskich okrągłych czapkach i popielatych płaszczach, rozbijają się po wagonie, rozmawiając zbyt głośno, brzęcząc ostrogami i pałaszami.

(Dokończenie nastąpi).



NOWE SŁOWO RUCHU KOBIECEGO.

ZARYS SYNTETYCZNY.



(Dokończenie).

A oto treściwy wykaz prac naukowych, dokonywanych przez kobiety tam, gdzie mogły one studiować swobodnie.

„Châtelet, pierwsza wykazała tożsamość światła i ciepła; epokowe dzieła: „Instytucje analityczne,” — Maryi Agnesi, Zofii Germain: „Teoria drgań płyty elastycznej,” nagrodzona przez Akademię; dalej: odkrycia astronomiczne Karoliny Herszel, Maryi Sommerville: „Mechanika niebios,” dzieło używane do dziś, jako podręcznik w Uniwersytecie w Cambridge. Ścisłość tej pracy podnosi z zachwytem Humboldt, jako też „Geografia” tej uczoniej, stawiana na równi z „Cosmosem” Humboldta, Zofii Kowalewskiej: „Teoria równań” i t. p.

O pierwowzorze sławnym mozaiki, przedstawiającej bitwę Aleksandryjską, stanowiącym epokę w historii malarstwa, a będącym dziełem kobiety, Overbeck pisał: „Włosy po-

wstają na myśl, że to potężne dzieło ma być dziełem kobiety!”

„Ale najciekawszym jest materiał statystyczny, który wykazuje, że u wszystkich niemal ludów pierwotnych, — pieśniarka jest wszędzie kobieta,” — mówi jeszcze M. Dulebianka. „Ona nie tylko śpiewa, ale muzykę i pieśni sama komponuje, tworzy pieśni epickie, (u Indyan, Chińczyków, Arabów, Kabylów, Hottentotów, Murzynów) pieśni opiewające wielkie czyny i cnoty zmarłych, sławne bitwy i t. p. U Botokudów tworzy ona nowe wyrazy. Prof. Büchner w dziele swem: „Praca i Rytm” wykazuje, że i w średnich wiekach we Francji, Niemczech, Anglii, Portugalii, jest kobieta kompozytorką, poetką i improwizatorką.” „Księgi mądrości Sybilijskiej” to było pierwsze dzieło twórczości ducha kobiecego, który piętno swego wpływu pozostawił we wszystkich tradycjach ludów kulturalnych.

P. R. Kuczalska daje nam pracownice zebrane dane z historii ruchu kobiecego, dla naszego gruntu bardzo pouczające. Zaznacza fakt dużego rozwoju stowarzyszeń kobiecych (w Niemczech 400, w Czechach 300). Mówiąc o szerokim ruchu abolicjonistycznym, przytacza ciekawy szczegół co do Norwegii. W tym kraju mianowicie niema prostytucji, natomiast prawa miejscowe rozciągają staranną opiekę nad nieprawami dziećmi. Ojciec musi dostarczać im utrzymania do lat 15-tu, wobec zaś pomocy materialnej, a to pod *rygiem pozbawienia praw wyborczych* uchylającego się od tych obowiązków, które za niego podejmuje gmina.

Autorka ta nawołuje bardzo słusznie do opracowania planu dla naszego ruchu kobiecego, który po za ogólnym ruchem pozostał bardzo w tyle, a zarazem ze świadomością rzeczy występuje zasadnie przeciw tym wszystkim, którzy „wielką ideę cywilizacyjną tego ruchu radziby zamknąć w kawałku chleba,” tak, że w tym chaosie, tylko bardzo zdolne jednostki zdobywają się na zorientowanie się indywidualne w swej własnej sprawie bytu ogół zaś pozbawionym jest sterownictwa, co ma skutki oplakane, grzebie bowiem na naszym gruncie tę żywotną sprawę, zamiast jej nadać rozwój właściwy.

„Aby więc wyrwać kobiety nasze z apatii lub męczącej pogoni za celem nieokreślonym, trzeba w sprawie kobiecej hasło *chleba* zamienić na hasło *etyki*, dążenie ku ideałom Dobra.” Przytem zaznacza: „Pracujmy samodzielnie, nie strójmy się w gotowe cudze myśli i wyniki cudzych mozolów, lecz wysiłkiem własnego mózgu, namuleniem dłoni, krwawem starciem ducha o krawędzie życia, wydobywajmy ze swej głębi dorobki własne, noszące piętno odrębności naszej natury dla dobra kultury ogólnej, a to przez obowiązek nasz względem przeszłości i przyszłości.”

P. Helena Witkowska streściwszy ruch kobiety walczącej o swe prawa, od Rewolucji francuskiej, na całym obszarze świata ucywilizowanego i zaznaczywszy ostatnie jego zdobycze, dochodzi do pokrewnego wniosku, konkludując:

„Historia uczy nas, że praw żadnych się nie dostaje, że się je zdobywa. Tylko świadome i zorganizowane grupy otrzymują prawa, które im się należą, a przyznać musimy,

że dziś jeszcze największym wrogiem swej sprawy są kobiety same.”

„Kobiety winny sięgnąć do jedynej środka, czyniącego słabych silnymi, do zrzeszenia się, do organizacyi, — przyłącza tu głos swój p. M. Lipszyc Balsigerowa. — Przyczynia się przez to do stworzenia opinii, reformie przychylnej, a także zwrócenia uwagi kobiet obojętnych. Aby zwyciężyć, trzeba żądać, żądać nieustannie, wytrwale! Wszelkie na świecie prawo zostało wywalczonem.”

Na stronę ekonomiczną kwestyi kobiecej zwraca słusznie uwagę p. Nossigowa. Motor to istotnie olbrzymi ruchu kobiecego, tylko przenigdy nie *jedyny*. Dowodzi p. N. za Lily Braun, że „genialność kobiety leży w dziedzinie społecznego życia.” Niewątpliwie, jeżeli przez to zrozumiemy cały obszar jej wpływów kulturalnego znaczenia. Punkt ten uświadamia sobie dobrze p. I. Moszczeńska zgodnie z poglądem Ellen Key, w orzeczeniu następującem względnie do potrzeb chwili obecnej:

„Wspólnem hasłem naszym reformatorskiem winno być dążenie do *odrodzenia jednostki ludzkiej*. Poczucie odpowiedzialności względem pokoleń przyszłych uszlachetni i odrodzi moralność naszą i przywróci kobiecie to stanowisko, jakie jej natura wyznaczyła. Na tej drodze dopiero stworzyć będzie można świat nowy, lepszy od dzisiejszego, gdyż wszystko pozostanie, jak było dotychczas, jeżeli ludzie zostaną tacy sami.” Punkt widzenia bez kwestyi rzetelnie postępowy.

A oto, jako krok przejścia od pieśni do czynu, redakcja pisma „Nowe Słowo,” po czterech latach swej bardzo owocnej pracy nad postawieniem sprawy kobiecej u nas na wszechludzkim gruncie, zwraca się z odezwą do kobiet, stanowiącą dzielny przyczynek rzeczowy do przedsięwziętej tu przez nas próby syntezy dążeń nowoczesnego ducha kobiecego. Brzmi ta odezwa, jak następuje:

„Zwracamy się z wezwaniem i prośbą do kobiet postępowych. Przyłączcie się do nas, do naszej pracy, do naszej walki! Ze wszystkich stron kraju pragnęlibyśmy usłyszeć słowa żywe, dające wyraz temu, co się żądaniem, dążeniem, czynem przejawia.

Należałoby już teoretyczne rozpatrywania: jak jest i jak być powinno, zamienić na żywe fakty, na świadectwa czynów dokonanych, lub dokonywujących się.

Do wszystkich tych kobiet, które biorą udział w życiu, jako czynne jednostki, odwołujemy się, aby zechciały przesłać nam sprawozdanie z działalności, nadziei, pragnień, środowiska, wśród którego żyją, oraz wyniki wspólnych zabiegów, dobro powszechne mających na celu.

Musimy obliczyć siły nasze i plany naszej pracy, zestawieć bilans naszych czynów, aby gdy przyjdzie odpowiednia chwila, prawo nasze do równości obywatelskiej nie było przywilejem nam darowanym, ale *uznaniem w nas nowych wartości dla powszechnego postępu*.”

A odezwa ta kobiety Polki zbiega się w czasie z następującym protestem Francuzek:

„Kobiety zgromadzone 29-go Października 1904-go roku w sali Stowarzyszeń naukowych (w Paryżu) na wiecu protestującym przeciw obchodowi stułetniej rocznicy Kodeksu Napoleona, żądają zniesienia wszystkich paragra-

fów, stanowiących o podrzędnym i upośledzonym stanowisku prawnym kobiety i żądają, żeby wszyscy obywatele, bez różnicy płci uznani zostali za równych wobec prawa.“

O prawa dla macierzyństwa, głosem natchnionej poetki współczucia woła Ada Negri, podając w tym swe siostrzane dłonie Ellen Key, myślicielce. Z konkursów, ogłaszanych stale przez stowarzyszenia humanitarne, działające pod egidą uszlachetnienia ludzkości, powstaje już cała nowa literatura, jako wyraz śmiałości, a niezależnej myśli reformatorskiej względem przeżytków trupiejszającej kultury mijających dni.

Na kongresach wszechświatowych radzą kobiety-matki nad wielkim swym zadaniem dania współczesnemu światu *nowego typu człowieka*, człowieka zdrowego moralnie, zdolnego do przejęcia się żywotnym wstrętem względem wszystkiego, co jest zwyrodniałem, człowieka, na którego barki spadnie zadanie wymagające z jego strony podniosłości dążeń, odwagi i zdolności, bowiem zadaniem jego będzie—„uczynić świat człowieczy tem, *czem on być powinien*.“

Ozem zaś powinien być świat człowieczy, stać mający na wysokości kultury człowieczeństwa, z tego już bardzo jasno zdaje sobie sprawę dorosła do swych zadań cywilizacyjnych kobieta nowa, która już dziś w zwartych zastępach swych przedstawicielek, formuje wspaniały „pochód krzyżowy“ przeciw wszechbarbarzyństwu.

Do wysokiego tego celu świat kobiecy winien iść wszakże ławą. W chwili, gdy w świecie ducha wszystko się budzi do życia, do czynu, w szeregach pierwszych zastępów powołanych do dzieła odrodzenia, na stanowisku swem kobieta stanąć musi godnie.

M. Cz. Przewóska.



W ODPOWIEDZI.



Artykuł pomieszczony w numerze 25-ym „Bluszczu“ zatytułowany „Z wiejskimi dziećmi,“ nasunął mi parę uwag, które może na czasie będzie wymienić.

Autorka artykułu z przykrością widzi, że rodzice z klasy t. zw. wyższej, nie pozwalają swoim dzieciom bawić się z wiejskimi dziećmi, dlatego że brudne, używają nieetykietalnych wyrazów i mogą przenosić różne choroby, a według niej, trzeba właśnie te dzieci wskazywać dzieciom zamożniejszym, jako wzory pracowitości i zaradności.

Nie zaprzeczając bynajmniej korzyści, jakaby mogła wynikać ze zbliżenia się dzieci miejskich ze sfer zamożniejszych z wiejskimi, chciałabym tylko, aby na tę kwestję spojrzeć trzeźwo, a nie sentymentalnie.

Otóż co do zabaw wspólnych, swobodnych, bez żadnego nadzoru, oponowałabym stanowczo. Znając dokładnie życie dzieci wiejskich, mogę śmiało powiedzieć, że nie same tylko nieetykietalne wyrazy, przez nie używane, wstrzymywać mogą matki od pozwalania na

przestawanie razem, w wypadkach gdy matka czuwać nad tem nie może.

Nadzór niech nie będzie uciążliwym, widocznym, ale czujnym niech będzie konieczne.

Z takich zabaw, nad którymi oko troskliwej matki nie czuwa, wiele dla dzieci szkody być może i bywa.

Owe opowieści, cudowne legendy i dziarskie śpiewki, których według autorki dzieci miejskie od wiejskich nauczyć się mają, są naprawdę trochę legendą.

Przysłuchawszy się tym rozmowom, wrędcę rozczerowałaby się autorka, jak im daleko do poezji i jak najjaskrawsza proza życiowa z przedwczesną dojrzałością, a trywialnie opowiadana, bywa ich treścią.

Cóż mówić o nałogach, papierosach, o kłótniach? A i chorób wykluczyć nie można.

Autorka przytacza tylko jednego zdrowego, choć zamorusanego Jędrusia, ale można przytoczyć dziesięciu Jędrusiów, także zamorusanych, a oprócz tego okrytych wyrzutami różnego rodzaju, które przy pogardzie wody, rozszerzają się swobodnie.

Że dziecko miejskie znalazłszy się na wsi, jest mniej zaradnem od wiejskiego, to rzecz zupełnie prosta, wiejskie, wzięte do miasta, także okaże się niedołężnem wśród nowych dla siebie warunków.

Co zaś do pracowitości, to artykuł ten wydaje smutne świadectwo matkom i wychowawczyniom, że dla dziecka miejskiego po wzór do pracy trzeba aż sięgać do wiejskiej chałupy.

Prawda, że tam 12-letnia Jagatka dziecko dźwiga, krowę doi i w polu w robocie pomaga, a sześciolatek Jasiak pasie gęsi lub trzodę, ależ dla ujrzenia takich przykładów niekoniecznie wsi trzeba szukać.

W miejskich i podmiejskich ubogich rodzinach tryb życia jest ten sam, i tam dziecko wcześniej pracować musi, rozumie się, jeśli w rodzinie pracowitość domową, oprócz zarobkowej pojmują.

Pracowitość można spotkać równie często w rodzinach bogatych, jak i krańcowe lenistwo w ubogich.

Nie należy więc idealizować niektórych faktów, kosztem innych, ale patrząc poprostu na życie, z jego złem i dobrem, dążyć zawsze wytrwale do wychowania dziecka pracowitego. Otoczyć je odpowiednimi przykładami, wciągać w miarę sił do utrzymania porządku, przyzwyczajając do służenia sobie i innym chętnie i wesoło, a jak najmniejszego wymagania usług od bon i służących (co przy dzisiejszej drożyznie służby jest koniecznem)—to wszystko sprawi, że nie szukając daleko wzorów, samo pracowitem będzie i cudzą pracą uszanować potrafi.

J. Bojarska.



Ze znanych tematów.



Warszawa człowiekowi zmuszonemu pozostać w mieście wśród lata gotuje tortury niewypowiedziane. A wszystko to gwoili higienie i wygodzie jej mieszkańców, dla ich dobra jest podejmowane. Wychodzisz, piękna Warszawianko, na miasto i zaiste, nie wiesz, gdzie krok postawić.

Tu na przestrzeni kilkunastu łokci kładą bruk drewniany, ówdzie utykać musisz po nierównych kostkach lub ostrym, świeżo rozsypanym szabrze. Z powodu tego bruku słów parę. Jak ma być on trwałym i odpowiadającym celowi, gdy w kilka godzin nieledwie po ukończeniu puszczonej jest po nim jazda kołowa. Cegielki nie miały jeszcze czasu ułożyć się, wyrównać, niedbalstwo przymtem przy układaniu coraz widoczniejsze. Szpary zakładane latami i listwami są szerokie i nierówne, nieporządnie, krzywo i niesymetrycznie ułożone kostki i na to wszystko układa się lepkie błoto z piasku i szabru, zwilżonego obficie wodą i niem za pomocą szczotek *zamazuje się* literalnie bruk nowy. Cóż dziwnego, że się paczy, zapada, wykrzywia, uwypukla, że woda nasiąka w drzewo i powoduje gnicie, że ziarna szabru wciśnięte kołami wozów i dorożek tworzą dziury i w kilka miesięcy później bruk taki jest nie do użycia, a naprawa ponowna pociąga znów wydatku setki rubli. A nadto z powodu bruku nasuwa mi się także moralizatorska nauczka na temat 7-go przykazania: „Nie kradnij.“ Nigdzie bowiem kradzież nie jest tak jawnie tolerowana, jak przy robotach ulicznych i nigdzie działwa nie jest do niej tak zaprawiana i zachęcana. Własna inicjatywa, a w większości wypadków, nakaz rodziców zaprawia dziecko do kradzieży, bez rumieńca wstydu, z zuchwalstwem i tolerancją ze strony osób starszych. Co więcej, nie uważają tego sobie wcale za złe, grzeszne, czy naganne, lecz za dobre i pożyteczne. Ileż to razy widzieć możemy, jak taki rozbój jawny odbywa się przy kostkach drewnianych, zwiezionych do naprawy bruku. Dzieci, maleństwa, wyrostki, dziewczęta kradną na potęgę i unoszą, jak wróble okruszyny, listwy, łaty, kostki na opał, jak łup i zdobycz cenną—„zapracowaną.“ Starsi nie ustępują im bynajmniej w tej robocie. Mularze i mularki przy budowie domów, chłopcy i dziewczęta „do pomocy,“ wszystko to powraca obładowane drzewem kradzionem przy budowie, które częstokroć spieniężają za bezcen.

Ten sam objaw grabieży daje się zauważyć w zimie przy rozwożeniu węgla, a w lecie lodu, gdy z wozu i koszyków, „nie naumyślnie“ spadają kawalki, w lot rozbchwytywane. Powiecie mi może:—„bieda ich zmusza do tego,“—a ja dodam, że nie tyle bieda, ile żądza otrzymania wszystkiego *za darmo*, chciwość *nieokiełznana*, zamiłowanie do kradzieży.

Jeśli to są zbyt czarne barwy, daj Boże, abym się myliła. Sumienie publiczne tak czujne, gdy idzie o sprawy bliźniego spi, spi w obojętności i nie oburza się, nie karci, nie poprawia, — *toleruje* te jawne występki.

Ale odbiegłszy od tematu, powracam do tortur, jakie swym mieszkańcom gotuje nasze miasto. Jednem złem jest zatem: układanie bruku drewnianego czy kamiennego, drugim w tymże czasie naprawianie chodników, kanałów, telefonów podziemnych. Trwa to nieraz przez całe tygodnie i tamuje ruch swobodny. Trzeciem jest malowanie kamienic, sklepów, wystaw, mycie ich w różnych porach dnia i наконец, polewanie ulic. Powiedzmy teraz, że wszystko to odbywa się nieraz jednocześnie na jednej ulicy, a będziemy mieli obraz istotnego piekła i męczarni. Dla panów stworzenia, którzy najwięcej posługują się dorożkami, rzecz to jakkolwiek sama w sobie nieprzyjemna, mniejsze jeszcze posiada znaczenie, ale dla kobiet jest istną

męczarnią. Wychodzi odziana schludnie i wdzięcznie Warszawianka, obuta w nowy elegancki bucik, szumiącą nową hałeczkę, unosząc nową sukienkę i naraz znajduje się w takim położeniu: na chodniku woda bucha, jak z wodospadu, z hydrantów, z dziurawych zawsze węzów (kamienicznicy, biedacy, zawsze nie mają pieniędzy na niezbędne reparacje domowe) płyną więc strugi wody swobodnie; — chcesz je ominąć, potykasz się o wieka starych pak i deski, jakimi założono świeżo naprawione płyty chodnika; tu zbierasz znowu suknię, aby się olejną farbą świeżo pomalowanego domu; czy sklepu nie opieczetować, tam na głowę chłapie ci wapno lub woda: w jednym miejscu zastawiono baryery, w drugim leżą sterty gruzu lub wyrzuconej ziemi, w innym jeszcze z beczek i kostek istne barykady uliczne, i jak tu przejść swobodnie? Schodzi zatem na ulicę i zamoczywszy obuwie i spódniczki wkracza w kurzliwy piasek. Tu jednak przez szerokość ulicy wzięta jest naraz we dwa ognie, gdyż podług „nakazu“ polewanie ulic odbywa się z obu stron jednocześnie i to, co godzina. Masz więc prysznic i o 6-ej rano, gdy cię cudny poranek wywabia na majówkę i o 8-ej, gdy idziesz do kąpieli, lub „na wody“, i o 9-ej, gdy dzieci, uczniowie, urzędnicy, nauczyciele i t. p. dążą do zajęcia — półtoci płyną, strumienie, po szerokości chodnika, z mycia sklepów i bram oraz z dziurawych węzów. O 1-ej w porze południowej, w święto, gdy tłumy suną do kościoła, lub wysypują się po sumie, pomiędzy publicznością roztrącają się stróże lub ich wyrzucyście, a pod nogami przechodniów płaczą się ciągnione, zwijane, rozwijane, dziurawe lub obandażowane węże gumowe, o 11-ej, o 12-ej, o 2, 3, 5 i 6, 7-ej i tak dalej, i dalej aż do późnego wieczoru. Dobrą jest higiena i błogosławione jej zastosowanie, jednak wobec sposobów, w jaki ta hydropatya pliczna jest nam stosowana, doprawdy wolelibyśmy może kurz dawniejszy od dzisiejszej plagi ulepszonego polewania. Kto zaś nie polewa: i baba, i dziecko, i wyrostek, bez najmniejszej umiejętności kierowania węzłem i albo dostajemy prysznic w twarz, albo na obuwie. Czyżby na to nie znalazła się przecież jakaś rada? Może podzielenie czynności tej armii higienicznej, aby raz jedna, raz druga strona ulicy była zraszana?...

A nasza jazda dorożkarska i samochodowa? Prawda, że życie to ruch, i że w ognisku, gdzie ono pulsuje gorączkowo, gdzie wszyscy się spieszą, niepodobna powrócić do ślimaczej powolności. Cóż ma jednak począć osoba chora na nogi, która nie może się pospieszyć, aby umknąć przed nacierającą nad głową dorożką, samochodem, rowerem, wozem, pojazdem. U nas dostanie się do tramwaju (zwłaszcza dla osoby starszej) połączone jest częstokroć z niebezpieczeństwem życia.

Powiecie mi na to: — „Niech nie wychodzi, lub niech jeździ,“ — lecz jeżeli wbrew radzie nie da się to zastosować, cóż wtedy?... narazić się z rezygnacją na przejechanie, lub oczekiwać co najmniej pół godziny na chwilowe opróżnienie się ulicy. Czy tak? A tyle mamy chorych, cierpiących, samotnych, dla których krązenie po ulicy w tych warunkach jest istotną męczarnią.

O miasto postępu, gorączki życia, ciemnoty, zła i blichtru, nowatorstwa pełne! O, błogosławiona cisza wsi, nietkniętej stygmatem kultury wielkomiejskiej!

G. T.



Instytut higieny dziecięcej

im. bar. Lenvala

i „Kropla mleka.“



Dzięki ludziom dobrej woli, wielkiego serca i rozumu, filantropia wkroczyła u nas na

drogę najdonioślejszego dla społeczeństwa pożytku. Ilekroć to w ostatnich czasach powstało najróżnorodniejszych instytucji, z których każda ważną stanowi placówkę w rozwoju bytu ekonomicznego, lub jest jako uzdrowisko moralne bądź to dla maluczkich przeznaczona, bądź dla tych, którzy już zdążyli zbrukać się w walce życiowej.

Niema społeczeństwa, któreby nie sięgało do ofiarności publicznej, chodzi tylko o to, aby ofiarność ta nie rozsypywała się bezcelowo, wywołana kaprysem albo nudą, aby nie wyzyskiwały jej osobniki przez próżniactwo i zgniliznę moralną tracące do niej prawo, lecz aby grosz publiczny był ziarnkiem w miarce, stanowiącej prawdziwe dobro społeczne.

„W zdrowem ciele — zdrowa dusza,“ — mimo-wiednie słowa te cisną się do myśli, gdy wchodzimy do instytutu higieny dziecięcej imienia bar. Lenvala i widzimy te gorące, pełne poświęcenia zabiegi około wzmacniania i uzdrawiania całych zastępów dzieci, które głód, nędza, a zatem brak odżywiania i zdrowotnego pomieszczenia — w części zaś i dziecięce lub zaniedbane choroby skazują na śmierć przedwczesną i cierpienia.

Instytut higieny dziecięcej dokazał cudu. Pojęcie o higienie tak trudne do zaszczepienia u nas w sferach uboższej ludności, dzięki umiejętnej działalności doktorów, pracujących w instytucji i anielskiej zaiste dobroci siostr, coraz głębiej do szerokich mas przenika, a już sama liczba kąpieli, udzielonych w ciągu 5-ciu miesięcy, przewyższająca w trójnásobną liczbę kąpieli, udzielonych w ciągu takiego okresu czasu w roku 1904-ym i dochodząca do 16,000, wymownie świadczy, jak dalece ludność uboga, zwłaszcza w niedalekiej od instytutu mieszkająca odległości, przywykać poczyną do zgoła nieznanej przedtem higieny.

Prawda, że dziecko wykapałszy się za 6 kop. w najhigienicznej urządzonej wannie, obtarte czystym prześcieradłem, przebrane w czystą bieliznę (jeśli takiej niema to siostra ją znajdzie, albo brudną każe matce wyprać), wyczesane, o ile potrzeba ostrzyżone, dostaje kubek ciepłego mleka i bułkę i ten posiłek niewątpliwie najsilniejszą stanowi przynętę, w każdym atoli razie dziecko do czystości przywyka i ani się nie spostrzeże, jak ona do przyzwyczajenia jego codziennych przeniknie i stanie się jego potrzebą.

Higiena w instytucji obejmuje: porady dentystyczne, szczepienie ospy, gimnastykę, ortopedję. Nadto instytut stale utrzymuje ambulatorium, w którym udzielane są dzieciom wszelkie porady, w zakres medycyny i chirurgii wchodzące, opatrunki i odpowiednie lekarstwa.

Obok działów: lekarskiego i higienicznego, w instytucji wytworzył się dział jeszcze jeden, pracy około dobra istot najsłabszych, w bezsilności swej najbardziej potrzebujących około dobra niemowląt, których matki, częstokroć w nędzy, nie mogą nawet z piersi własnych dostarczyć biedactwom dostatecznego pożywienia. Dział ten zwie się „Kropla mleka.“ Kropla mleka, to znaczy mleko otrzymywane z pierwszorzędnego gospodarstwa nabiłowego w Oborach, pasteryzowane, sterylizowane i sprzedawane po 1/2 kopiejki (!) za buteleczkę. W przeciągu 5-ciu miesięcy, od 1-go Stycznia do 1-go Czerwca r. b. wydano takich buteleczek 50,000. Czy potrzebne komentarze?

Na ostatniem posiedzeniu komitetu instytucji, odbytem w dniu 19-ym b. m., pod przewodnictwem ks. rektora Gralewskiego, pomiędzy wielu innemi wnioskami, mającemi na celu jeszcze szersze rozwijanie działalności zakładu, przedstawiono nowość, którą instytut zamierza jak najgorliwiej wprowadzić w użycie, a którą jest odkażanie mieszkań po chorobach zakaźnych. Przez ambulatorium instytutu przewija się niemało dzieci chorych na choroby zakaźne, nie trudno więc będzie

lekarzom instytutu trafić do swoich klientów. Wiadomo, jak w dotychczas przyjętych warunkach, z przyczyn, dających się łatwo wytłumaczyć, ludność uboższa unika wszelkich sanitarnych środków i manipulacji, a zatem, pozyskanie jej zaufania w tym kierunku to jeszcze jeden ogromny krok w pochodzie higieny i kultury.

Instytucja niczego nie udziela darmo, — jałmużna jest wykluczona, — lecz ceny za wszystko są minimalnie, poprostu zdumiewająco niskie. I tak: kąpiel wraz z mydłem, prześcieradłem, kubkiem mleka i bułką po kąpieli — 6 kop., — porada lekarska, w tem opatrunki i lekarstwa — 15 kop., — porada dentystyczna, plombowanie, wyrwanie i t. p. 5 kop.; — godzina gimnastyki pod kierunkiem tak doskonałej specjalistki, jak p. H. Kuczalska 1 kop. i t. d.

Wobec takich cen zrozumieć łatwo, iż tylko poparcie ogółu instytutu materialnie podtrzymać może.

Matki, którym los udzielił tyle, iż dzieciom waszym zapewnić możecie wygody i wszelką pomoc w złej dobie, idźcie, zobaczcie, ile tam do instytutu higieny dziecięcej przychodzi biednych matek po radę i ratunek!... zobaczcie te gabinety doktorskie, te salki opatrunkowe i operacyjne, gabinet dentystyczny, salę kąpielową, rozbieralnię, salę gimnastyczną, wszystko urządzone podług wymagań najracjonalniejszej wygody i higieny, utrzymane w idealnej czystości, zobaczcie te stosy kubków przygotowanych do mleka, rozdawanego po kąpieli i te setki buteleczek wydawanych codziennie z „kroplą mleka“ dla niemowląt, a może nie jedna z pośród was odmówi zabawki lub cukierków pociechom swoim i dorzuci ziarnko do miarki, z której czerpie zasilek tak wielkie dobro społeczne.

Zofia S.



Z odczytów o wychowaniu

w Krakowie wiosną 1905-go roku.



W sprawie wychowania mówi się, pisze i myśli bardzo wiele: krzyżują się zdania, projekty, kierunki, a żadnego głosu lekceważyć i pominąć nam nie wolno. Składamy tu więc wiązkę odczytów wypowiedzianych w tym roku w Krakowie, staraniem Stowarzyszenia Matek Chrześcijańskich, obchodzącego właśnie 25-lecie swego istnienia.

Pierwsze słowa pod tytułem „Rodzina, jako czynnik wychowania,“ wypowiedziała hr. J. Roztworowska (prezydentka „Związku p. Niewiast k.“).

Rodzina jest jako pierwotna komórka ustroju społecznego, utworem Bożym. Podstawa jej zawarowana ścisłością i nierozzerwalnością małżeństwa. Od Chrystusa do naszych czasów, szanowano nietykalność rodziny. Dopiero za dni naszych odbywa się szereg obmyślonych na jej zgubę zamachów, jak: podkopanie świętości małżeństwa, oderwanie dziecka od władzy rodziców, a kobiety od ogniska rodzinnego, szkoła bezwyznaniowa. Społeczeństwo katolickie powinno temu przeciwdziałać. Składnikami zdrowej atmosfery rodzinnej, której nie dziecku zastąpić nie zdoła, jest łączność rodziców w pocziwych zasadach, praca, karność i wzajemny szacunek, wczesne przypuszczenie starszych dzieci do udziału w obowiązkach i troskach rodzicielskich. Obok prostoty życia, starać się należy o możliwą wytworność ducha, o wzniosłość i wdzięk estetyczny wiążący dzieci, chłopców zwłaszcza, do domu rodzinnego. Ważnym jest wpływ uszlachetniający siostr na braci,

przeciwstawiający szkodliwe wpływy zepsutych kolegów. Na powadze i prawdzie gruntuje się zaufanie do rodziców. Obok nauk i przykładów należy dostarczyć dzieciom w domu stosownych przyjemności i uciech. Wesołość koniecznym jest czynnikiem w wychowaniu, ale nie sztuczna, wyszukana, zbytkowna. Atmosfera wiejska najlepszym dostarcza warunków wychowania fizycznego i moralnego zdrowia rodziny. Wielkimi są obowiązki i odpowiedzialność ojców w życiu rodzinnym. Głównym zadaniem rodziny jest wychowanie. Nie na dzień dzisiejszy tylko pracujemy, ale dla pokoleń, z których się składa naród i tworzą jego dzieje.

Drugi odczyt p. t.: „Co nam dziś najbardziej wychowanie utrudnia,” wygłosiła p. S. Münnichowa, pracująca od dawna z zamiłowaniem na niwie pedagogicznej.

Wychodząc z zasady, że prawdziwe szczęście to obok zdrowego organizmu summa zadowolonych wewnętrznych, — do tego ideału wychowanie dążyć powinno. Że zadań swych dostatecznie nie spełnia, to nie jest winą wychowawców, ale raczej okoliczności, tkwiących w naszem położeniu politycznym i ekonomicznym. Główne trudności w wychowaniu stanowią: 1) Różnorodność zasad i pojęć, przejściowych może, ale zostawiających ślady na kierunku zapatrywań i dążeń wychowania; 2) Roztargnienie, pośpiech i znużenie, któremu często podlegamy, podczas gdy wychowawca potrzebuje spokoju i rozważa; 3) Rozdrabnianie kwestyi, zbytnie zajmowanie się szczegółami z pominięciem rzeczy najważniejszych; 4) Wymagania wygórowane, zupełny brak prostoty w życiu i myśleniu; 5) Zaabsorbowanie kobiety pracą tak umysłową, jak zarobkową, co odsuwa ją od zajęć domowych, obniża jej siły żywotne i rozbija rodzinę; 6) Coraz widoczniejszy upadek wiary i zasad uczciwych.

Obok tych trudności zewnętrznych, tkwią przyczyny złego i w nas samych. Oszołomieni napływami ideami, nie wiemy kiedy przestajemy być sobą, zatracamy charakter indywidualny i narodowy. Rozprasza się, wyrrywamy z rodzin, gardzimy przeszłością.

Zadaniem kobiety szczególnie jest stać twarzą przy swych obowiązkach najbliższych — zajmować godnie stanowisko matki, obywatelki, chrześcijanki. Jej zadaniem urabiać i rzeźbić charaktery dusz jej pieczy powierzonych.

Professor Józef Milewski (znany ekonomista) w odczycie swym „O budżecie domowym,” objął odczytem swym całokształt gospodarstwa i budżetu domowego, w stosunku do ekonomii państwowej. Jako błędy i wady podkopujące dobrobyt u nas, wskazał wygórowane wymagania, życie nad stan, nieumiejętność w zestawieniu budżetu wydatków domowych. Dochody powinny dawać normę wydatków. Rodzice powinni być oszczędni i przezorni, a majątek nie tylko zachować, lecz go powiększyć dla dzieci. Wychowanie dzieci, dostarczanie im wygod i zaspokajanie upodobań ma być odpowiednio do stanu ich finansowego w przyszłości. Wskazując konieczność wydatków na wzmocnienie zdrowia fizycznego i wykształcenie odpowiednio stanowisku, prelegent ostrzegał przed zbytkiem, przed budzeniem wygórowanych żądań i przyzwyczajęń.

Czwartym z rzędu był odczyt o „Szkołach zawodowych,” wypowiedziany przez p. A. Sikorską, kierowniczkę rękodzielni kilimów ludowych w Czernichowie. Prelegentka przedstawiła ważne zadanie kobiety w rodzinie, tem państwu republikańskiem, gdzie maż dzierżyć winien tękę spraw zewnętrznych, podczas, gdy żona zawiaduje sprawami wewnętrznymi, tak ważnymi dla zdrowia, dobrobytu i czci małej Rzeczypospolitej.

Do tego jednak wielkiego celu, kobiety wszystkich klas społecznych u nas nie są dostatecznie przygotowane; przeciwnie, źle zro-

zumiana emancypacja nie rozwija przymiotów wrodzonych kobiecie, jak: pracowitość, zaradność w życiu codziennym; nie ułatwia jej zarobkowania na polach, na których już od wieków pracując, byłaby najzręczniejszą i najwytrwalszą. Zamiast tego, kobiety rzucają się tłumnie do zawodów, które dotychczas wyłącznie dzierżyli mężczyźni. Skutkiem takiego zwrotu jest upadek gospodarstwa domowego, rzemiosł kobiecych, a natomiast wzrost nerwowości, apatya i niezaradność trapiąca młodą generację kobiet. By złemu zaradzić, konieczną jest zorganizowanie działalności kobiet dobrej woli, któraby do życia powołała szkoły zawodowe dla dziewcząt kończących w pewnym zakresie teoretyczną naukę szkolną.

W piątym i ostatnim odczycie dr. H. Jordan, znany filantrop, lekarz i profesor, wymownym, a gorącym słowem wskazywał błędy i groźne uchybienia w wychowaniu młodzieży, zwłaszcza męskiej.

Zwracając uwagę na zwyrodnienie fizyczne i moralne, często się pojawiające u młodszej generacji społeczeństwa naszego, zachęcał do ćwiczeń gimnastycznych, ruchu, świeżego powietrza, ale nie lekceważąc pobudek moralnych, które, podnosząc ducha, wzmagają też siły ciała. Cześć ideałów społecznych i religijnych, to jeden z najważniejszych czynników wychowania, to pierwiastek zdrowia i energii u młodzieży naszej, „tak wam mówi stary, doświadczony lekarz,” — wyrzekł z zapalem zacny prelegent. Zwracał także uwagę na potrzebę szczerości i szlachetności w stosunku z wychowawcami. Odrzucając wykręty i szkodliwe tajenie prawdy, które później z tem większą brutalnością uderzy i spaczy charakter młodzieńca, zalecał rozumne, poważne a wczesne uświadamianie i ostrzeganie przed groźnymi niebezpieczeństwami, co być powinno zadaniem ojca rodziny lub mądrego nauczyciela-wychowawcy.

Liczne grono słuchaczy a niekiedy i słuchaczy świadczyło o powszechnym zainteresowaniu się kwestją. Jednocześnie zaś sypały się składki na moralnie zaniedbanych chłopców, gromadzonych w zakładzie „Piastowe Miejsce” (w Sandeckiem) oraz „Spytkowice” pod Krakowem.

M. Świd.



Na półkach księgarskich.



— *Marya Dissłowa: „Nauka gospodarstwa domowego w szkołach ludowych.”* Nakładem redakcyi „Przemysłowca.” Drukarnia Udziałowa, Kopernika, 20. Rök 1905.

W szeregu artykułów, drukowanych w galicyjskiem czasopiśmie „Przemysłowiec,” p. Marya Dissłowa na podstawie osobistej podróży do Wrocławia, zwiedzania tamże szkół zawodowo-gospodarczych, spostrzeżeń i wniosków ztąd wysnutych, skreśliła nam treściwy i wyczerpujący opis nauki stosowanej i pożytku doniosłego, jaki ztąd płynie dla całej klasy niezamożnych dziewcząt.

Miejskich szkół gospodarstwa domowego w samym Wrocławiu jest pięć, oprócz tych istnieje seminarium nauczycielskie i prywatne zakłady gospodarcze. Wszystkie kuchnie w tych instytucjach są jednakowo urządzone i wyposażone, różnią się tylko ilością uczęszczających uczennic. Jako typ wzorowo urządzonej szkoły podaje nam p. Dissłowa opis szkoły ludowej (na Michaelisstrasse) w połączeniu ze szkołą gospodarstwa domowego. Lokal na nią przeznaczony obejmuje szatnię, kancelaryę, kuchnię, na dole: piekarnię, spiżarnię i pralnię.

Pokoje urządzone gustownie i wygodnie, a nadewszystko praktycznie. W szatni np. znajdują się szafy przeznaczone do przechowywania ubrania, inne do bielizny stołowej, jeszcze w innych są posortowane próbki zbóż, począwszy od ziarna surowego, aż do przetworów, jak: ryż, sago, tapioka i t. p.

Tamże mieszczą się słoje z rozbiorami chemicznymi, a w szufladach tablice z ilustracyami roślin i jarzyn natu-

ralnej wielkości, nadto zapas wszelkich korzeni kuchennych do przypraw. W kuchni są cztery ogniska i jedna kuchnia gazowa. Przy każdej gospodaruje wspólnie 7 uczennic, tak, że 28 może jednocześnie pobierać naukę. Do każdego ogniska należy stół, na którym dziewczątka sporządzają potrawy. Wszystkie statki i przybory do gotowania od niezbędniejszych do wymyślnych, są pod ręką. Naczynia żelazne, nie emaliowane. Każda partya uczennic posiada specjalną umywalnię, a wszystkie uczennice rywalizują z sobą, aby swoje ogniska, stoły, statki, w jak największym porządku utrzymać. Jak już wspominaliśmy, kuchnia jest połączona schodami z suterrenami, gdzie mieszczą się: piekarnia, zaopatrzona w niecki, dzieże, formy, stoły, stoliki i t. p., dalej idą spiżarnie z zapasami jarzyn, pralnia, w której dziewczynki pod okiem nauczycielki uczą się teoretycznie i praktycznie, jak prasować kołnierzyki i inne drobniaki.

Co się tyczy nauki gotowania, to uczennice podzielone są na partye i każda partya raz w tygodniu przychodzi na naukę praktyczną, a raz na teorię. Program gotowania na cały tydzień i we wszystkich szkołach jednakowy. Kurs nauki dla uczennicy trwa rok, to znaczy, że każda praktykuje przeciętnie 40 razy. Potrawy sporządzają najprostsze i najtańsze, ale pożywne. Konsumują je same, a koszt (10 fenigów na głowę — nie całe 5 kop.) ponosi miasto. Oprócz uczennic uczęszczają także do szkół kandydatki na nauczycielki gospodarstwa domowego. Każda nauczycielka jest wydoskonalona w swej specjalności, i przez powtarzanie programu z uczennicami nabiera coraz większej wprawy.

Nauka rozpoczyna się modlitwą, poczem nauczycielka odczytuje katalog — na tablicy wypisany jest program obiadu. Zanim uczennice zabiorą się do gotowania, słuchają wykładu nauczycielki, mającego związek z programem — następnie nauczycielka wydaje rozporządzenia, rozdziela zajęcia i bacznie, aby te były sumiennie i dokładnie wykonywane.

Zaznaczyć należy ważną nowość zaprowadzoną we wszystkich szkołach, na wszystkich kursach: uczennice przyzwyczajają się od początku posługiwać widelcami, nożami, łyżkami, aby jak najmniej dotykać ręką materiałów i potraw przygotowywanych, o czym nawet nie słyszały dotychczas nasze kucharki, i byłyby zdumieniem i grozą przejęte tą inowacją niebywałą. Dalej uczą się jeszcze: jak utrzymywać porządek w pokojach, piwnicy i na strychu, jak się obchodzić ze służbą. Istnieją jeszcze kursy uzupełniające dla uczennic, pragnących pogłębić i rozszerzyć swe wiadomości, a nadto trzecia kategoria kursów dla uczennic z zamożnych domów, które chcą się nauczyć gotowania wykwintnych potraw. Czynią to na koszt własny. Ostatnią, godną zaznaczenia instytucją jest we Wrocławiu seminarium nauczycielskie, pozostające w łączności ze szkołą i kursami gospodarstwa domowego. Jako przeznaczone dla osób ze sfery inteligentnej i uprzednio przygotowanych, profesorowie udzielają wykładów z dziedziny technologii. Kurs w seminarium trwa również rok, po którym uczestniczka jest dostatecznie teoretycznie i praktycznie wyszkolona. Tak się przedstawia przegląd szkół zawodowo-gospodarczych we Wrocławiu. W Niemczech są one w ogóle bardzo rozgałęzione po większych, a nawet i mniejszych miastach. U nas w ostatnim lat dziesiątku ujawnił się znaczny ruch, postęp i dążenie w tym kierunku. Istnieją szkoły specjalne wychowawczo-gospodarcze w Chylichkach pod Piasecznem, założone staraniem hr. Cecylii Zyberk-Platerówny, w samej Warszawie Zakład św. Zyty, specjalnie dla sług i organizuje się podobno nowa szkoła gospodarstwa miejskiego dla stałych mieszanek miasta. Nie możemy także pominąć milczeniem sławnych „Czepczulek” w Kuźnicach pod Zakopanem, pod kierownictwem hr. Zamoyjskiej, szkoły w Kur-nikach, w Narwiliżkach p. Korwin-Piotrowskiej, rolniczogospodarczej dla kobiet i w Poniemuniu.



Kronika działalności kobiecej.



— Szkoła artystyczna dla kobiet p. f. A. Conti zamknęła rok szkolny w dniu 15-ym Czerwca. W roku tym uczęszczało do szkoły uczennic 96, w nauczaniu brało udział piętnastu nauczycieli, z których 9-ciu tworzy radę pedagogiczną.

W szkole prowadzone są następujące kursy równoległe: sztuka obejmuje dwa kursy: I-szy, rysunki ręczne i malarstwo, — II-gi, rzeźbę; — kurs III-ci sztuka zdobnicza i kompozycja ornamentacyjna, — IV-ty, rysunki techniczne i instrukcyjne, — V-ty, rysunki ręczne wieczorne — VI-ty, przeznaczony specjalnie dla dzieci — rysunki ręczne i modelowanie w glinie. Na kurs ten uczęszczają razem chłopcy i dziewczynki.

Uczennice kursów malarstwa, obok prowadzonych przez rok cały studyów podług żywych modeli, z nastaniem dni ciepłych studyowały pejzaż na otwartym powietrzu.

Uczennice kursów sztuki stosowanej brały udział w konkursie na wzory posadzek ceramicznych, ogłoszonym przez firmę „Dziwulski i Lange.“ Na 306 prac, nadesłanych przez różnych artystów i przy sześciu tylko nagrodach przyznanych, czwartą nagrodę w wysokości rubli 100 otrzymała uczennica szkoły „A. Conti,“ p. Stanisława Jopkiewiczówna. Z trzech zaś prac, które otrzymały wzmiankę zaszczytną i zostały zakupione przez firmę, jedna również pochodziła od uczennicy szkoły, panny Zofii Plewińskiej.

Panie: Marya Contiówna, Teodozya Domańska, Teresa Kronenblechówna, Helena Straussowa i Wanda Zarzycka otrzymały świadectwa z ukończenia kursu rysunków technicznych. Kurs ten ma na celu praktyczne przygotowanie rysowniczek dla biur budowlanych, technicznych i przemysłowych.

W pierwszą rocznicę otwarcia szkoły, t. j. w lutym r. b., szkoła urządziła w jednej z sal w Tow. Zachęty Sztuk Pięknych publiczną wystawę prac uczennic, złożoną z półtora przedmiotów. O wystawie owej pomieszciliśmy obszerniejsze sprawozdanie w swoim czasie.

Od dnia 15-go Września r. b. czyli od nowego roku szkolnego 1905 go na 1906-ty, skład nauczycieli przedstawia się, jak następuje: Kurs rysunku i malarstwa, — art.-malarze: Antoni Austen i Edward Grajner. Kurs rzeźby, — art.-rzeźbiarze: Marya Gerson-Dąbrowska i Władysław de Turquier. Kurs sztuki zdobniczej, — art.-malarka p. Leokadya Łempicka i Bronisław Maruszewski, oraz architekt, Antoni Porczyński. Kurs rysunków ręcznych wieczornych, — art.-malarze: Leokadya Łempicka i Bronisław Wiśniewski. Kurs dla dzieci, — rzeźba: — Marya Gerson Dąbrowska, rysunek: — Leokadya Łempicka.

Szkoła urządziła pogadanki pogładowe w zakresie różnych działów sztuki, poparte zwiedzeniem odpowiednich zakładów artystyczno-przemysłowych.

Przy zachowaniu nadal dotychczasowego kierunku pedagogicznego, od roku przyszłego, t. j. od Września, zniżoną zostaje opłata tak miesięczna jak i kwartalna dla uczennic całodziennych, nadto dodane będą dla wszystkich uczennic bezpłatne wykłady teoretyczne.

— Ochrona kobiet.

W dniu 24-ym z. m. odbyło się posiedzenie zarządu Towarzystwa Ochrony kobiet pod przewodnictwem d-ra Józefa Zawadzkiego i z udziałem pań, kierujących wydziałami świeżo założonej „Przystani.“

Odczytano, przyjęto i uchwalono, aby przelać do zatwierdzenia regulamin szczegółowo opracowany, zawierający, oprócz szczegółów gospodarskiej materii, dwa punkty zasadnicze, a mianowicie: Zgłaszające się do „Przystani“ kobiety mogą w niej pozostawać nie dłużej nad 3 miesiące, w ciągu których należy bądź to umieścić je w odpowiedniej dla nich instytucji, bądź postarać się dla nich o pracę. Podczas pobytu w Przystani muszą być obowiązkowo zajęte pracą i pogawędkami. Stosunek do nich powinien być oparty na pobłażliwości, łagodnym obejściu i życzliwości, stosunek taki powinien wpływać na rozbudzenie prawdziwego przywiązania do opiekunek. Nadto, opiekunki będą musiały

zająć się nauką czytania i pisania przebywających w „Przystani“ kobiet, ponieważ większość składa się z analfabetek. Na kilkanaście przybyłych w ostatnim tygodniu tylko dwie umiały czytać i pisać i jedna nieco czytać. — Drugim punktem zasadniczym regulaminu jest to, iż kierowniczki „Przystani“ powinny rozciągać opiekę nad dziewczętami nie tylko podczas ich pobytu w „Przystani“, lecz i po wyjściu z niej, gdy znajdą zarobek i zajęcie. Ta łączność z „Przystanią“ ma na celu zapobieganie ponownemu zejściu na złą drogę.

W zakończeniu posiedzenia rozważono szematyczne sprawozdanie schronisk i ognisk Towarzystwa, oraz edagowano ostrzeżenie, które ma być wywieszone na stacyach kolejowych. Ogłoszenie ostrzega młode podróżne, aby nie zwracały się o radę do ludzi nieznanym, lecz prosiły o wskazówki naczelników stacji, którzy zjednani są dla sprawy Ochrony kobiet, w Warszawie zaś, aby zgłaszały się do biura Towarzystwa przy ulicy Mazowieckiej Nr. 11.

Tabliczki metalowe z napisami w 4-ech językach, ofiarowała bezpłatnie firma p. Braumana.

— Jena. Wakacyjne kursa dla kobiet będą, jak w latach zeszłych, trwały od 3-go Czerwca do 16-go Sierpnia w szkole ludowej przy placu Karola. Kurs wykładów obejmuje następujące wydziały: nauki przyrodnicze, pedagogikę, ogólnospołeczne wykształcenie kobiet, teologię, historię, filozofię, wreszcie kursa nauki języków i sztuki. Bliższych objaśnień udziela pani dr. Schnetger. — Jena.

Z. S.



Kroniczka.



— „Tygodnik Ilustrowany“ zamieszcza zajmującą i oryginalną nowellę Antoniego Kamińskiego p. t. „Wiosenny poranek,“ z ilustracjami autora, utalentowanego artysty-malarza.

Kronika tygodniowa Bolesława Prusa na temat „Co to jest polityka?“ odznacza się zaletami właściwymi pióru tego wielkiego pisarza, jego sposobem zapatrywania i treściwego przedstawienia rzeczy.

— W Petersburgu odbyło się posłuchanie delegacji ziemstw.

— W celu uczczenia pamięci Mikołaja Reja z Nagłowic, w kościele ewangelicko-reformowanym przy ulicy Leszno po uroczystym nabożeństwie i stosownym przemówieniu nastąpiło odsłonięcie tablicy pamiątkowej z kamienia polnego z odpowiednim napisem:

Pamięci
Mikołaja Reya
z Nagłowic.
1505 + 1589.

Ojca piśmiennictwa polskiego.

Szermierza kościoła reformowanego, głosiciela prawd ewangelicznych w Polsce, Postylli, Psalterza i wielu innych dzieł autora.
Hebr. 13. 7.

Rodacy i współwyznawcy w 400-ną rocznicę jego urodzin.

R. P. 1905.

Projektowany jest również zjazd w Grudniu r. b. w Krakowie i wydanie dzieł Reya lub księgi pamiątkowej.

— Ministerium spraw wewnętrznych zatwierdziło ustawę nowo powstać mającej szkoły pielęgniarzy i pielęgniarek, zakładanej przez d-ra Al. Fruchtmanna z kursami rocznymi. Nowa szkoła rozpocznie wykłady we wrześniu. Udzielane będą przedmioty następujące: anatomia, fizjologia, ratownictwo, pielęgnowanie chorych, higiena, masaż, wodolecznictwo.

— Dnia 19-go z. m. rozstrzygnięto konkurs na okładkę *ex libris* i papier okładowy do wydawnictwa „Kultura polska,“ ogłoszonego za pośrednictwem Towarzystwa Polska Sztuka Stosowana we Lwowie, o czym w swoim czasie pisaliśmy. Prac nadesłano 12. Nagrodę 300 koron uży-

skala praca pod godłem: „Z księgozbioru Ozyasza Lampla,“ której autorem jest Jan Bukowski z Krakowa. Nadto wyróżniono dwa projekty. Wszystkie prace wystawiono na widok publiczny w lokalu Towarzystwa.

— Pani Hubbard, wdowa po podróżniku, umiłowywawszy ideę, której mąż poświęcił życie, puściła się z Halifaxu (miasta w Nowej Szkocji) w podróż do bieguna północnego. Śmiało to i ryzykowne przedsięwzięcie na siły kobiece — oby uwieńczone zostało pomyślnym wynikiem!

— Dnia 22-go z. m. zakończył życie ś. p. Robert Herse, kupiec, współwłaściciel znanej firmy „Bogusław Herse,“ konfekcyi damskiej, w wieku lat 60.

— W Nałęczowie zmarł zasłużony mecenas ś. p. Kazimierz Paszkowicz z Warszawy, w wieku lat 69.

— Dnia 21-go z. m. zakończył życie w Ojcowie d-r Stanisław Niedzielski, ordynator zakładu hydropatycznego i ceniony lekarz, pracujący z pożytkiem i poświęceniem dla dobra miejscowości, zakładu mu powierzonego i swoich licznych pacjentów. Powstał projekt wmurowania tablicy pamiątkowej w jednej ze skal Ojcowskich w celu upamiętnienia żywota i działalności zasłużonego człowieka. Odszedł w pełni sił męskich, przeżywszy lat 45.

— W Wiedniu zmarł ś. p. Kazimierz Krauz, znany socjolog i publicysta, współpracownik pism warszawskich, autor artykułów, rozpraw i korespondencji, pomieszczanych w „Głosie,“ „Prawdzie,“ „Przeglądzie Powszechnym,“ „Kuryerze Warszawskim“ i „Kuryerze Codziennym.“ Żył lat 34.

— W Tyrolu zginął wypadkową śmiercią Henryk Wissman, podróżnik afrykański, który wyprawami swymi przyczynił się do rozpoznania tej tak odmienniejszej części świata w strefie podrównikowej.



— Otrzymujemy pismo następujące z prośbą o zamieszczenie:

Wobec tego, że niektóre osobistości działające w Paranie rozesłały do pism polskich odezwę w celu zbierania składek na rzecz Towarzystwa nazwanego „Macierzą szkolną“ w Brazylii, czujemy się w obowiązku zawiadomić Sz. Redakcję, że owa „Macierz szkolna“ jest tylko „zręcznym“ pomysłem wyległym w głowach kilku ludzi złej woli.

Zadne towarzystwo tej nazwy nie było w Paranie zarejestrowane i ustawa jego nie została ogłoszona: nie było żadnych zebrań, wyborów, ani sprawozdań.

Odezwa owych panów opiewa, że Towarzystwo istnieje od r. 1902-go pod poprzednią nazwą Towarzystwa Szkoły Polskiej w Brazylii. Otóż wiadomo nam, że panowie ci zbierali już składki w Europie, ale otrzymanych sum nigdy nie ogłaszali w Paranie.

Mamy nadzieję, że Szan. Redakcja raczy zwrócić uwagę na powyższych słów kilkoro i postara się w stosowny sposób zapobiedz takiemu nadużywaniu ofiarności publicznej.

Pozostajemy z poważaniem
Redakcja tygodnika „Polak w Brazylii.“

Treść numeru:

Podczas lata, przez Matkę-Polkę M. R. S. — Płotecki i prawdy, feljeton tygodniowy, przez Parola. — Joan. VIII, 1—12, przez Maryę Rodziewiczównę (ciąg dalszy). — „*“, (wiersz), przez Witoldynę. — Historia kobiety, studium historyczne, przez Julię Terpiłowską (ciąg dalszy). — Piórem i ołówkiem, przez Jana Ładę (ciąg dalszy). — Nowe słowo ruchu kobiecego, szkic syntetyczny, przez Maryę Czesławę Przeworską (dokończenie). — W odpowiedzi, przez J. Bojarską — Ze znanych tematów, przez G. T. — Instytut higieny dziecięcej imienia bar. Lenvala i „Kropla mleka,“ przez Zofię S. — Z odczytów o wychowaniu w Krakowie, przez M. Świd. — Na półkach księgarskich. — Kronika działalności kobiecej, przez Z. S. — Kroniczka. — Ogłoszenia.

Do dzisiejszego numeru dołącza się arkusz 3-ci baśni dramatycznej w 4-ach aktach Einara Arne Christiansena p. t. „Piotr Plus,“ w przekładzie K. Łaganowskiego.

Dodatek: Opis ubiorów i robót (rycin 30). — Przepisy kuchenne, oraz Tablica krojów.

Julia Kozłowska. Wdowa z dwojgiem dzieci skrofalicznych, którym lekarz zalecił Cieccho-cinek i staruszką matką, — bez środków utrzymania poleca się liitościwym Czytelniczkom Bluszczu. — Wronia 21, mieszkania 72.

MAGAZY

otrzymał
skie,
ia pol.
Or
K
Zawiada. zapis
Informacje. ospekt
Pensy

A. TRZ

w Warszawie, Al

ORÓW MĘSKICH

il na sezon bieżący
euskie i Krajowe
ędom Sz. Publiczności
roju i Szycia
zpoczął się z dniem 1 Maja r. b.
nie gratis.
i miejscu.

JZKOWSKI

ozolimska № 21, róg Brackiej.

Podwojona

bez pod

**GAZETA
POLSKA**

Abonenci w War

dwa

☆☆☆☆

Warunki prenu

miesięcznie:

80 kop.

Kwartalnie rb. 2,40; półrocznie rb. 4,80; rocznie rb. 9,60

wraz z bezpłatną dostawą do domu!

Z przesyłką pocztową: Kwartalnie 3 rb., półrocznie 6 rb., rocznie 12 rb.

Każdy prenumerator
„Gazety Polskiej“
może abonować wy-
dawnictwo

**BIBLIOTEKA
DZIEŁ
WYBOROWYCH**

o 4 rb. taniej
od ceny zwykłej: Rocz-
nie (52 tomy) tylko
6 rb. (z przes. 8 rb.),
w opowie 12 rb.
(z przes. 14 rb.).

Adres: Warszawa, Warecka 14.

Zeszyt w prenumeracie kop. 42:

PRENUMERUJCIE

NOWOŚCI MUZYCZNE

Jedynе polskie czasopismo, poświęcone literaturze fortepianowej.

Wychodzi przy końcu miesiąca zeszytami objętości 20 str. nut i tekstu.

Na treść pisma w kwartale I-ym złożyli się: utwory salonowe, taneczne, melodie ludowe, duet z II-go aktu op. „Andrzej Chénier“—Walce z op. „Konsul. generalny“ i t. p. następujących autorów: Konst. ks. Lubomirskiego, prof. A. Michałowskiego, W. Nadolskiego, W. Osmańskiego, M. Swierzyńskiego, I. Worobeckiego, U. Giordano, H. Reinhardta i innych.

Komplet kwartalny pisma składa się z 24 utworów na fortepian.
W dziale literackim liczne prace z dziedziny muzyki.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W Warszawie: Rocznie rub. 5, półrocznie rub. 2 k. 50, kwartalnie rub. 1 k. 25.
Z przesyłką pocztową: rocznie rub. 6. — W Ameryce rub. 7.

Zeszyt pojedynczy kop. 60, z przesyłką pocztową, kop. 75.

Premium bezpłatne dla rocznych abonentów: **Trzy zeszyty** do wyboru z lat poprzednich.

Adres redakcyi i administracyi: Warszawa, Warecka 15.

Agentura dla Galicyi: u St. Sokółowskiego we Lwowie, Pasaż Hausmana № 9.

Pierwszorządna wykwińska pracownia

SUKIEN I OKRYĆ

oraz Szkoła Kroju i Szycia

„CHIC VARSOVIEN”

ulica Złota № 25

wykonywa

pospiesznie i elegancko podług ostatnich modeli z własnych i powierzonych materiałów.
Zapis uczennic codziennie. Przy szkole pensjonat



Klawiol AP. KOWALSKIEGO, APTEKARZA, GRANICZNA 10, USUWA BEZ BÓLU BRODAWKI, SKÓRĘ ZGRUBIAŁĄ NA PODESZWACH I C. PŁYNU 30 i 50 K. PLASTRA 35 K. ŻAŁOĆ WSZĘDZIE. STRZEDZ SIĘ PREPARATÓW NIESPECJALISTÓW.

GAZETA HANDLOWA.

„GAZETA HANDLOWA“ weszła obecnie w fazę stałych reform. Dotychczas GAZETA powiększyła już format, wzbogaciła treść i rozszerzyła koło współpracowników. GAZETA wychodzi również w niedziele i święta.

W ostatnich czasach jedna sobie szeroka poczytność we wszystkich kołach czytelniczych, jako pismo, które obok swej specjalności handlowo-przemysłowej, pożytecznej teraz dla każdego, zawiera obfitą treść ogólną.

„Gazeta Handlowa“ obejmować będzie nadal główne działy następujące: artykuły wstępne, poświęcone sprawom społecznym, ekonomicznym i politycznym; uwagi informacyjne i krytyczne nad sprawami chwili bieżącej; korespondencje z wszystkich ognisk życia; dział literacki i artystyczny; feljtony na temat spraw społecznych; najbogatszą w naszej prasie kronikę handlu, finansów i przemysłu; obszerną kronikę ogólną i polityczną; telegramy własne i Agencji Petersburskiej; odcinek powieściowy, teatralny i literacki; kronikę akcyjną; fachowe wskazówki społeczno-gospodarcze; wiadomości instrukcyjne (licytacje, losowania, wykaz spółek, wykaz zaliczeń na kolejach i t. p.); najbogatszy dział giełd, oraz targów zbożowych i towarowych, służący na podstawie do kontraktów.

W zakresie informacji handlowych i przemysłowych, czerpanych wyłącznie ze źródeł bezpośrednich, „Gazeta Handlowa“ jest dowodem, nieodzownym w rękach każdego, kto zawiera jakiegokolwiek obroty i kto pragnie się zapoznać z biegiem całego życia ekonomicznego kraju; w działach ogólnych daje pełny obraz ruchu społecznego, politycznego, literackiego i artystycznego, holdując w ocenie zjawisk życiowych dążnościom szczerze liberalnym.

Naczelny kierunek redakcyjny „Gazety Handlowej“ spoczywa w rękach St. A. Kempnera.

Gazeta korzysta ze współpracy wszystkich prawnie praktycznych ekonomistów w kraju i ma bezpośrednie stosunki informacyjne z wszystkimi instytucjami ekonomicznymi i handlowymi.

W działach ogólnych biorą udział liczne, pierwszorządne siły literackie, które odznaczyły się talentem i niepodległością myśli.

Na żądanie posyła się bezpłatnie numery okazowe każdemu, kto poda swój adres.

Józef Jankowski.

ZWROTKI

Wydawn. GEBETHNERA i WOLFFA

Na wytwornym angielskim papierze z portretem autora

☆☆☆ Cena 75 kop.

Zamawiający przez Redakcję „Bluszczu“ nie ponoszą kosztów przesyłki.

KRYNICA

Od 16 Maja

dom pod „Wawelem”

na wzgórzu, naprzeciw łązienek; pokoje umeblowane z całodziennym utrzymaniem.

L. Żeleszkiewicz

Kl. i Kaczkowska.

Prasuje

bieliznę męską bez szkodliwych dodatków.
Warecka № 9 m. 8.

WYNALEZCY KŁAWIOLU NA ODCISKI TA MARKA I PODPIS NA BLASZANKACH. SUDORYN OD GRANICZNA 10. AP. KOWALSKIEGO APTEKARZA W WARSZAWIE. POTU POTU POTU. BLASZANKI z SITKIEM po 30 i 50 k. ŻAŁOĆ WSZĘDZIE w BLASZKACH NASŁADOWNIKÓW. STRZEDZ SIĘ NIESPECJALISTÓW.



Wydawca: Piotr Laskauer. — Redaktor: Maryan Gawalewicz.

Дозволено Цензурою. Варшава, 15 Юня 1905 г.

Druk Piotra Laskauera i S-ki, Nowy-Swiat 41.

przymarszczoną falbaną i z marszczoną w około bluzki. Kołnierzyk duży, rękawy buflaste do łokcia, poniżej wąskie. Potrzeba: 5½ mtr. płócienna ze szlakiem.

№ 3. Suknia z batystu w deseń dla młodej osoby.

Suknię z kremowego batystu, lub organdi w lila deseń przybierają: koronkowe wstawki, plisowany indyjski muślin, koronkowe medaljony i wązka, czarna aksamitka. Spódnica na oddzielnym spodzie z kremowego taffetas, naszyta a jour w dole wstawką i w odstępach, krzyżowaniem z aksamitki oraz rozetami z koronki. W górze spódnica zastębnowana w drobne, krótkie zakładeczki. Karczek z plisowanego muślinu i marszczoną bluzki przybrany odpowiednio. Nadto, przód bluzki zdobią medaljony koronkowe. Krótkie bufy z organdi, zakończone wązkim rękawkiem ułożonym z plisowania i wstawek. Pasek z blade lila wstążki, zapięty na ozdobną klamrę.

Potrzeba: 9½ mtr. organdi albo batystu, 1½ mtr. indyjskiego muślinu, 15 mtr. wstawki 6 ctm. szer., 5 mtr. aksamitki 2 ctm. szer., 20 medaljonów, ¾ mtr. wstążki na pasek.

№ 4. Skromny kostium spacerowy. (Patrz szkic 6). (Krój pierw. str. tabl. Fig. 15—23).

Skromny kostium z jasno szarego płótna w czarną kratkę składa się z krótkiej, w około równej spódnicy, silnie rozszerzonej w dole przez fałdy wpuszczone i ułożone do wierzchu. Kaftanik zapięty z przodu na 2 rzędy perłowych guzików, przybierają: mankiety, wykładany kołnierzyk i przy naramiennikach patki z ponsowej, angielskiej satyny, naszyte sutaszem białym i ponsowym. Sutasz, tak samo pomieszany, pokrywa małą kamizeleczkę, wypełniającą górę przodów.

№ 1. Kostium z pikową kamizelką.

№ 5. Kostium płócienny dla młodej panienki.

Bardzo zręczny kostium z grubego płótna białego w granatową kratkę, przybiera płótno gładkie białe

№ 2. Czarna tiulowa bluzka, przybrana inkrustacjami z haftu i koronką.



(Dok. opisów do Nr. 25).

№ 13. Kostium z materyału w kratki, ułożony w fałdy.

Kostium z szarego, lekkiego materyału w granatową kratkę. Spódnica, wykończona na oddzielnej podszewce, ułożona w około w kontrafałdy, bluzka, na dobrze dopasowanej podszewce ułożona tak samo.

Przybranie stanowi granatowe sukno, z którego sporządzono są: pasek, szalowy, trochę fantazyjny kołnierzyk, naramienniki i przybranie rękawów. Guziczki perłowe. Wycięcie kołnierza wypełnia biała płócienna, albo batystowa szmizetka.

Potrzeba: 8½ mtr. mat. podw. szer., ½ mtr. sukna, 14 guzików.

Wzory ubiorów i robót do Nr. 26.

№ 1. Ubranie dla chłopczyka od 3—5 lat. (Krój pierw. str. tabl. Fig. 48—54).

Ubranko z granatowej, ciemnej, angielskiej satyny ożywiają: mankiety i kołnierzyk z płócienną etaminy, zdobne mereszką i kolorowym haftem, oraz pasek z białej skóry. Długa bluza, ułożona w podwójne kontrafałdy, w całości przykrywa majteczki buflaste, ściągnięte przy kolanach, przyszyte do staniczki z podszewki.

№ 2. Sukienka dla dziewczynki od 11—13 lat.

Sukienka z płócienną kremową w ponsowej i granatowej kropki, składa się ze spódniczki, zakończonej



i granatowe. Głębokie fałdy krótkiej spódnicy, zastębnowane do kołan i podłożone wypustką z granatowego płótna, od kolan rozrzucają się swobodnie. Węży, z krótką, w około równą baskiną kaftanik ożywia bardzo zręczny kołnierzyk z białego płótna, obwiedziony aplikacją z płótna granatowego. Przody kryto zapięte, opatrzone kieszonkami. Rękawy gładkie, wąskie, zakończone małym mankietem.

Potrzeba: 9 mtr. płótna w kratkę, ¼ mtr. białego i ½ granatowego.

№ 6. Kostium sportowy. (Patrz szkic a). (Krój pierw. str. tabl. Fig. 42—46).

Kostium z białego drylichu w nikiel granatowe prążki przybierają perłowe guziki w dwóch wielkościach. Nastębnowane plisy zakończone w formie patek i opatrzone guzikami, przytrzymują fałdy ułożone w dole każdego bryta równej w około spódniczki. Równe kontrafałdy na bluzce przytrzymują szerokie naramienniki też opatrzone guzikami. Bluzka, zapięta na 2 rzędy. Rękawy koszulowe, od ręki do łokcia zastębnowane w fałdki.

Bawęczikowy pasek z białej skóry, opatrzone kieszonką.

№ 9. Havelok dla dziewczynki od 14—16 lat. (Krój odw. str. tabl. Fig. 109—112).

Havelok z angielskiego materyału w szare, zielone i czarne kraty, zapięty na 2 rzędy pięknych perłowych guzików, przybiera wykładany kołnierzyk z zielonego aksamitu. Klapki, wykończone po meżku. Przody opatrzone kieszonkami.

№ 3. Czarna tiulowa toaleta przybrana rüszkami, odpowiednia na wizyty,

№ 4. Suknia z jasnego woalu z plisowaną spódnicą.

№ 10. Luźne okrycie dla dziewczynki od 13 — 15 lat.
(Krój odw. str. tabl. Fig. 113—118).

Bardzo praktyczne okrycie z szaro granatowego covert coatu, zapięte na 2 rzędy rogowych guz. i wykończone stębnówką przybiera zręcznie kaptur, wsunięty pod wykładany kołnierz z kłapkami, wykończony po meżku. Rękawy, w rodzaju koszulowych, lekko przy ramieniu i przy ręku ufałdowane, ujęte w mały mankietek.

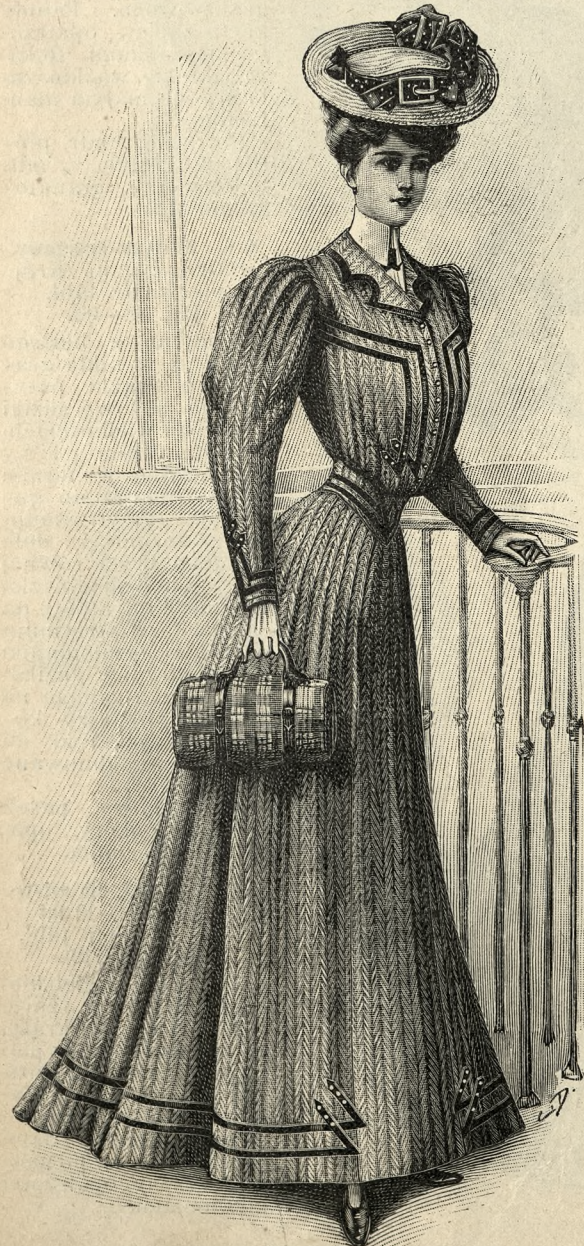
№ 11. Kostium z krótkim kaftanikiem dla młodej panienki.

Kostium z szarego płótna składa się z krótkiej, w około równej spódnicy i z krótkiego kaftanika z przodem, przedłużonym i ostro zakończonym. Przybraniem sukienki są białe płócienne wypustki i plisy oraz haftowane podłożenia u rękawów i kołnierz z płótna brudno ponsowego, pokryte haftem. Spódnica, do wysokości okrągłego karczka gładka, rozszerzona poniżej podłożeniami pod szwy brytów fałdami, zastębnowanymi w całości i wykończonymi białą wypustką. Kaftanik zapięty kryto na haftki, dwa razy naszyty plisą płócienną białą, odpowiednio do przodu ułożoną na plecach. Plisy i wypustki zakończają trójkątki, wyhaftowane białymi, koronkowymi nićmi. Rękawy umiarkowanie szerokie, zakończone dużymi mankietami.

Potrzeba: 9 mtr. szarego, 1 mtr. białego płótna, 30 ctm. ponsowego, 4 guziki.

№ 12. Ubranie sportowe dla chłopca od 7—9 lat. (Krój odw. str. tabl. Fig. 119—131).

Majteczki, lekko bufiaste, z granatowego szewiotu, ściągnięte przy kolanach. Bluzka z drylichu albo perkalu niebieskiego w granatowe paski. Przód złożony w jedną kontrafałdę, ramiona i wszystkie szwy starannie stębnowane. Kołnierz wykładany, podwiązany granatową krawatką w białe punkty.



№ 9. Kostium spacerowy, odpowiedni też do podróży.
(Krój pier. str. tabl. Fig. 8—16).



№ 5. Sukienka muślinowa z bluzką dla dziewczynki od 6—8 lat.
(Krój pier. str. tabl. Fig. 40—46).

№ 6. Zreformowana sukienka dla panienki od 14—16 lat. (Krój pier. str. tabl. Fig. 47—56).

Czapeczka sportowa z cienkiej flaneli w białe i niebieskie prążki.

№ 13. Sukienka perkalowa z bluzką dla dziewczynki od 10—12 lat.
(Krój odw. str. tabl. Fig. 132—139).

Zręczna, praktyczna sukienka z perkalu w białe i granatowe paski składa się ze spódnicy, ułożonej w głębokie fałdy, przyszytej do staniczka z podszewki i z luźnej, wyrzucanej bluzki, przybranej marynarskim kołnierzem



№ 10. Sukienka z materiału do prania z odpasowanymi szlakami.
(Krój pier. str. tabl. Fig. 17—19).

i mankietami z granatowej satyny, naszytymi białymi płóciennymi tasiemkami różnej szerokości. Krawatka z granatowego fularu zakończy kołnierz.

№ 14. Marszczona bluzka jedwabna.
(Krój odw. str. tabl. Fig. 34—37).

Karczerek ze stojącym kołnierzkiem z gipiury na podłożeniu z białego chiffon, przewleczony zieloną aksamitką i odpowiednio do karczka zakończenie rękawów, przybierają strojnie bluzkę z perłowej materii w nielką zieloną kratkę i wydłużniejszej barwy zielony rzucik. Bluzka w około karczka w płaską bufkę zmarszczona, przemarszczona trzykrotnie poprzecznie, kryto zapina się na plecach.

№ 15. Skromna bluzka z materii w paski. (Krój pier. str. tabl. Fig. 38—41).

Bluzka z miękkiego, cienkiego taffetas w szafirowe i zielone prążki, ułożona w płaskie, do stanu zwięzające się fałdy, kryto pod środkową fałdą zapięta. Rękawy na lekkiej podszewce, w szwach zmarszczone i udrapowane, zakończone grubą niecianą koronką, która też obejmuje drobno uplisowany, z tyłu zapięty stojący kołnierz.

Tym samym krojem sporządzić można bluzkę z materiału wełnianego, woalu, lekkiej flaneli, serge i t. p.

№ 16. Suknia batystowa, przybrana haftem.

Suknia z batystu haftowanego w punkty, sporządzona ze sztuczki batystu odpasowanej na suknię, może być noszona na białem albo na kolorowym podłożeniu, na spódnicy formą princess, zamieszczonej w numerze zeszytówgodniowym. Dół marszczony, gładkiej spódnicy, zakończy szlak haftowany. Taki sam, nieco węższy, zakończy brzegi przodków, rozchodzące się na kamizelce z haftowanego batystu, połączonej z małym karczkiem. Małeńki, wykładany kołnierz podłożony wstążką chinée. Z takiejże wstążki w całej szerokości wykonany pasek. Taką wstążką wszyta w mankiet przy bufiastych rękawach.

Potrzeba: sztuczkę materiału odpasowanego na suknię i 3½ mtr. wstążki chinée 22 cm. szerokiej.

№ 17. Suknia z etaminy w deseń.

Zręczna suknia z popielatej etaminy w deseń w ciemniejszym tonie składa się ze spódnicy sporządzonej na oddzielnym spodzie, rozszerzonej w dole płasko ułożonymi fałdami i z bluzki, obciągniętej na dopasowanej podszewce, przy szyi wyciętej i wypełnionej napierśnikiem z białego muślinu. Przybranie sukni stanowi rodzaj patek z zahaftowanego szarego taffetas, obwiedzionych plisą z czarnego atlasu. Wycięcie bluzki ujęte jest w kołnierz odpowiedni. Przybranie paska i przepięcie rękawów jest też takie same. Rękawy bufiaste, sięgające łokcia, zakończone 3 ctm. szer. koronką. Kołnierz podwiązany batystowym krawatem.

Potrzeba: 8 mtr. etaminy podw. szer., 2½ pasa zahaftowanego taffetas 4 ctm. szer., 1 mtr. czarnego atlasu, ½ mtr. białego muślinu z batystu, 3 mtr. koronki.

№ 18. Strojna sukienka z materii w paski. (Patrz szkic c).
(Krój odw. str. tabl. Fig. 82—91).

Materiał. louisina kremowa w niebieskie i zielone paski. Przybranie z falbanek marszczonych i plisek strojnie przybiera dół spódnicy, prócz tego na przybranie składają się medaljonowa gipiura, koronka w paru szerokościach i blade zielona wstążka Liberty. Marszczona bluzka, udrapowana w około gipiurowego karczka, na dobrze dopasowanej podszewce tworzy rodzaj bolera.

№ 19. Kostium płócienny, przybrany mereszka.
(Krój odw. str. tabl. Fig. 92—99).

Bardzo dystyngowany kostium z szaro niebieskiego płótna przybierają plisy z materiału i gruba mereszka z szaro niebieskimi nici. Spódnica gładka, w około równa, ułożona na szwach brytów w płaskie fałdy. Bluzka odpowiednio do spódnicy przybrana, obciągnięta skórzanym paskiem, zapięta na drobne, perłowe guziki.

Mereszkę ręczną zastąpić można gotową, maszynową.

№ 20. Zreformowana wizytowa sukienka.

Materiał: woal vert-pastel w haftowane jedwabne grochy. Lekko wcięta sukienka



Szkic a do ryc. 7.



Kostium wizytowy lub spacerowy z chusteczkowym kaftanikiem. (Patrz szkic a). Krój chusteczki odw. str. tabl. Fig. 88—89).

w stanie zastępowana w zakładki, przyszyta do stanika z podszewki, przykrytego w górze karczkiem z białego batystu, tworzącym wraz z przybraniem rodzaj okrągłego ściętego kaftanika. Przybranie sukni składa się z gipiury albo lekkiej pasmanteryi jedwabnej w tonie sukni, wstążka Liberty w ciemniejszym tonie i drobne złożone guziczki. naszyte grupami w odstępach na przednich szwach sukni. Rękawy sięgające łokcia, przybrane odpowiednio do karczka.

Potrzeba: 8 mtr. woalu, $\frac{3}{4}$ mtr. batystu podw. szer., 12 Mtr. pasmanteryi lub gipiury 5 ctm. szer., 1 mtr. wstążki 10 ctm. szerok., $3\frac{3}{4}$ tuzina guzików.

№ 21. Zreformowna suknia domowa.

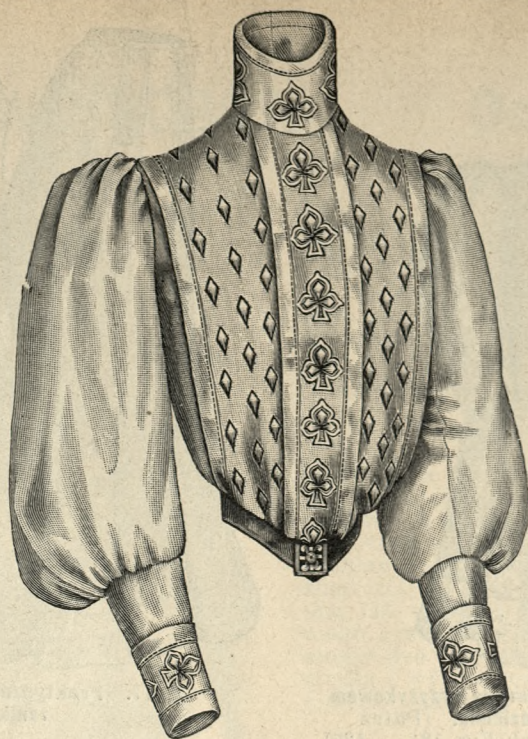
Bardzo elegancka domowa suknia z atlasu Liberty w kolorze błado niebieskim, przyszyta do krótkiego stanika z podszewki, kryto zapięta z boku pod chusteczkowym przybraniem, z białego crêpe chiffon, naszytem na staniku. Duży, biały, jedwabny kołnierz oszty koronką Cluny i odpowiednie do niego mankiety dopełniają przybrania. Zapięcie tworzą przewiązania z wstążki, zakończone kokardkami. Dół krótkiego kaftanika obciśnięty jedwabnym sznurem.

Potrzeba: 10 mtr. atlasu Liberty, $2\frac{1}{4}$ mtr. crêpe chiffon podw. szer., $1\frac{1}{4}$ mtr. białego atlasu, $4\frac{1}{2}$ mtr. koronki 7 ctm. szer., 60 ctm. sznura.

№ 22. Fartuszek w formie sukienki dla dziewczynki od 7—9 lat.

(Krój pierw. str. tabl. Fig. 66—71).

Bardzo praktyczny do zabaw w ogrodzie a w upały mogący w domu zastąpić sukienkę, fartuszek z perkalu w rzucik albo w paski, złożony z przodu w płaskie, od środkowej kontrafaldy rozchodzące się zakładki, przyciśnięte w stanie następnym paskiem. Przybranie fartuszka składa się z plis z perkalu gładkiego, dobranego do koloru rzuciku, z mereszki, którą zastąpić można stebnówką i z haftowanego szlaku, naszytego środkiem przodu od szyi do paska. Okrągły, nisko wycięty karczek, oszty gładką plisą, imituje kołnierz. Rękawy koszulowe, obciśnięte mankiecikiem, zapiętym na perłowy guzik. Boki fartuszka opatrzone kieszonkami.



№ 8. Bluzka zdobna szlakiem haftowanym. (Patrz ryc. 25).

№ 23. Spódnica dla panienki od 14—16 lat. Zmniejsz. forma pier. str. tabl. Fig. 55—58).

Dobrze dopasowaną do figury, ściągniętą lekko w górze spódnice z jasnej alpagi zakończy szeroka falbana,

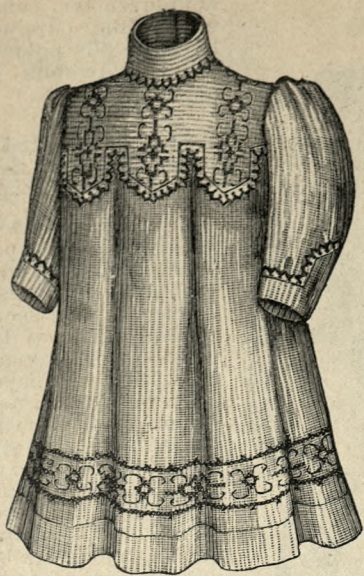
złożona z równych, 5—7 ctm. szerokich plis kolistych, jasnych i ciemnych, bądź to w kolorze tym samym, bądź w zupełnie odrębnym. Połączenie plis pokrywa wążka półjedwabna kremowa plecionka.

№ 24 i 25. Staniczek i spódnica dla panienki od 13—15 lat. (Krój pier. str. tabl. Fig. 59—65).

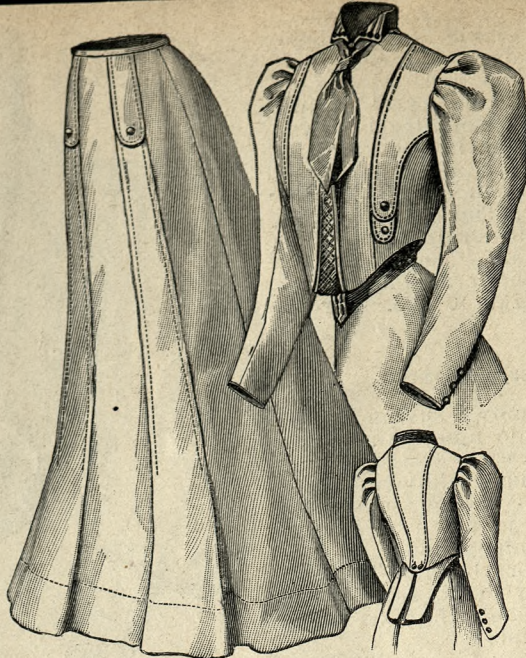
Łatwy do prania staniczek z cienkiego madapolamu lub batystu, zapięty z przodu na drobne guziczki, oszty przy wycięciu wstaweczką i hafcikiem, skrojony bez zaszepek, lekko przymarszczony w stanie, w miejscu oznaczonym przez *, naszyty paskiem, pod którym umocowana baskinka służąca do lepszego przytrzymywania staniczka przez spódnice.

Skromna, dla młodej panienki odpowiednia spódniczka, może też być wykonana z grubszego lub ciemszego materiału, do którego i haft zastosowany być musi. Spódniczka oszta haftowaną falbanką w 4 ctm. od brzegu odstępuje zastępowana jest w 4 zakładki 1 ctm. szerokie. Karczek należy sporządzić z podwójnego materiału i zaopatrzyć go z tyłu ściąganiem.





№ 16. Sukienka do prania przybrana krzyżykowem wyszyciem, dla dwuletniego dziecka. (Patrz ryc. 24). (Krój odw. str. tabl. Fig. 121 — 126).



№ 17. Praktyczny kostium z kaptanikiem.

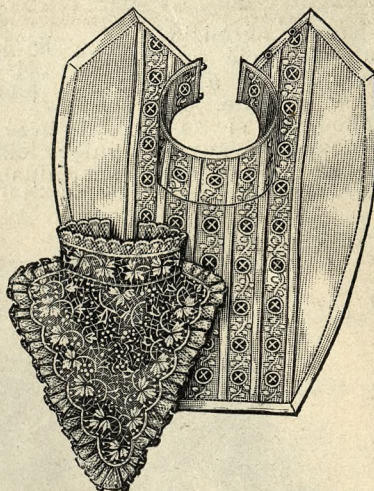


№ 18. Fartuszek z rękawami zdobny krzyżykowem wyszyciem dla dziewczynki od 6—8 lat. (Patrz ryc. 23). (Krój pierw. str. tabl. Fig. 57 — 70).



Obiad na Niedzielę.

Rosół z makaronem z naleśników.
Karasie i liny smażone, z ogórkami kwaszonymi.
Główka cielęca z maderowym sosem.
Młode indyczki.
Sałata, kompot.
Krem poziomkowy.



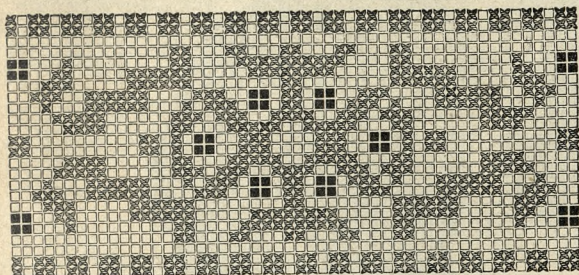
№ 20 i 21. Szmizetki: batystowa i gipiurowa. (Krój odw. str. tabl. Fig. 127—129).

Obiad na Niedzielę.

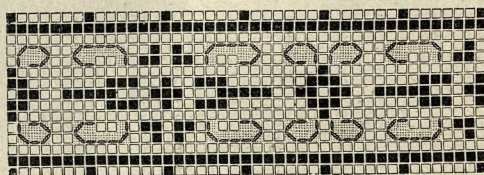
Rosół z makaronem z naleśników.
Sztuka mięsa z kalarepą i sosem szczypiorkowym.
Kurczęta z mizeryą ze śmietaną.
Krem poziomkowy.



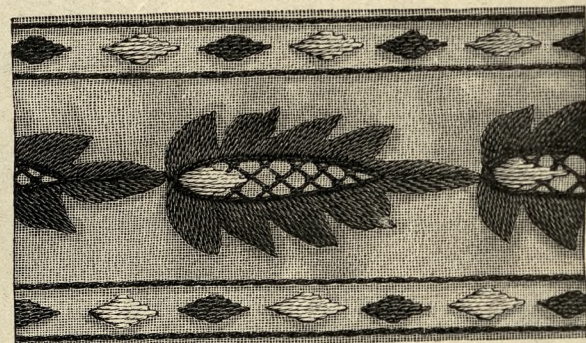
№ 22. Helgoński kapturek dla dziewczynki od 2—4 lat. (Krój odw. str. tabl. Fig. 102).



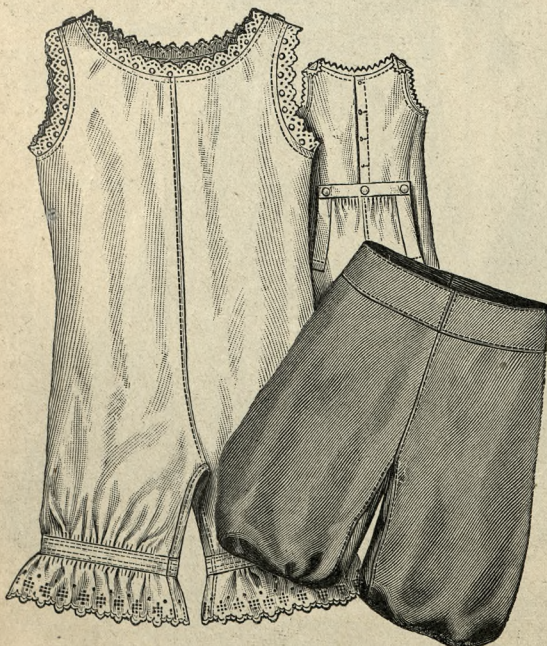
№ 23. Szlak do ryc. 18.



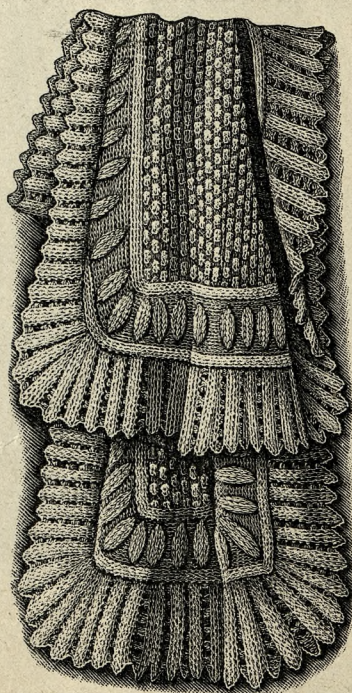
№ 24. Szlak do ryc. 16.



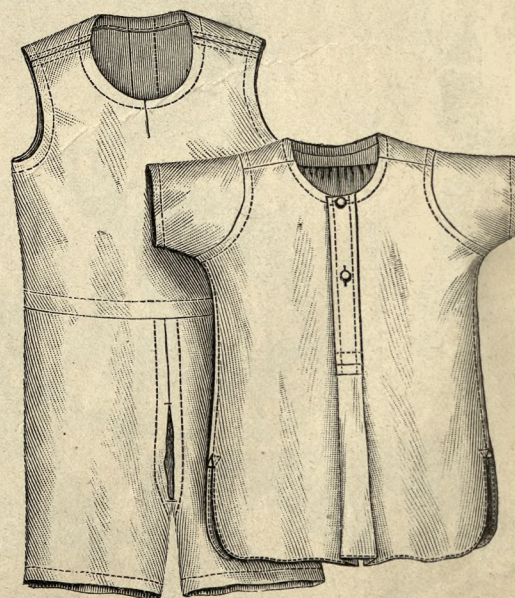
№ 25. Szlak do ryc. 8. (Wielkość oryginalna).



№ 26 i 27. Koszula połączona z majtkami i majtki do zreformowanego ubrania. (Krój odw. str. tabl. Fig. 103).



№ 28. Szal robotą na drutach.



№ 29 i 30. Majteczki ze stanikiem i koszula dzienna dla chłopczyka od 4—6 lat.